

3
o dysputy
potrzebie

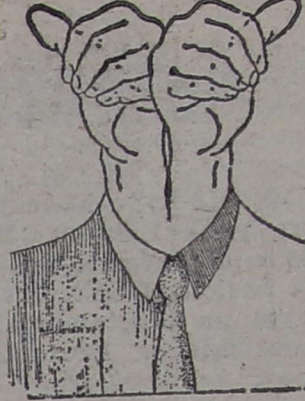


6
ziemiacza-
na zaraza

10
mamy
rację



11
gast-
arbeiterzy



12
zbuntowa-
ny homo
sapiens

14
kował
zawinił

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

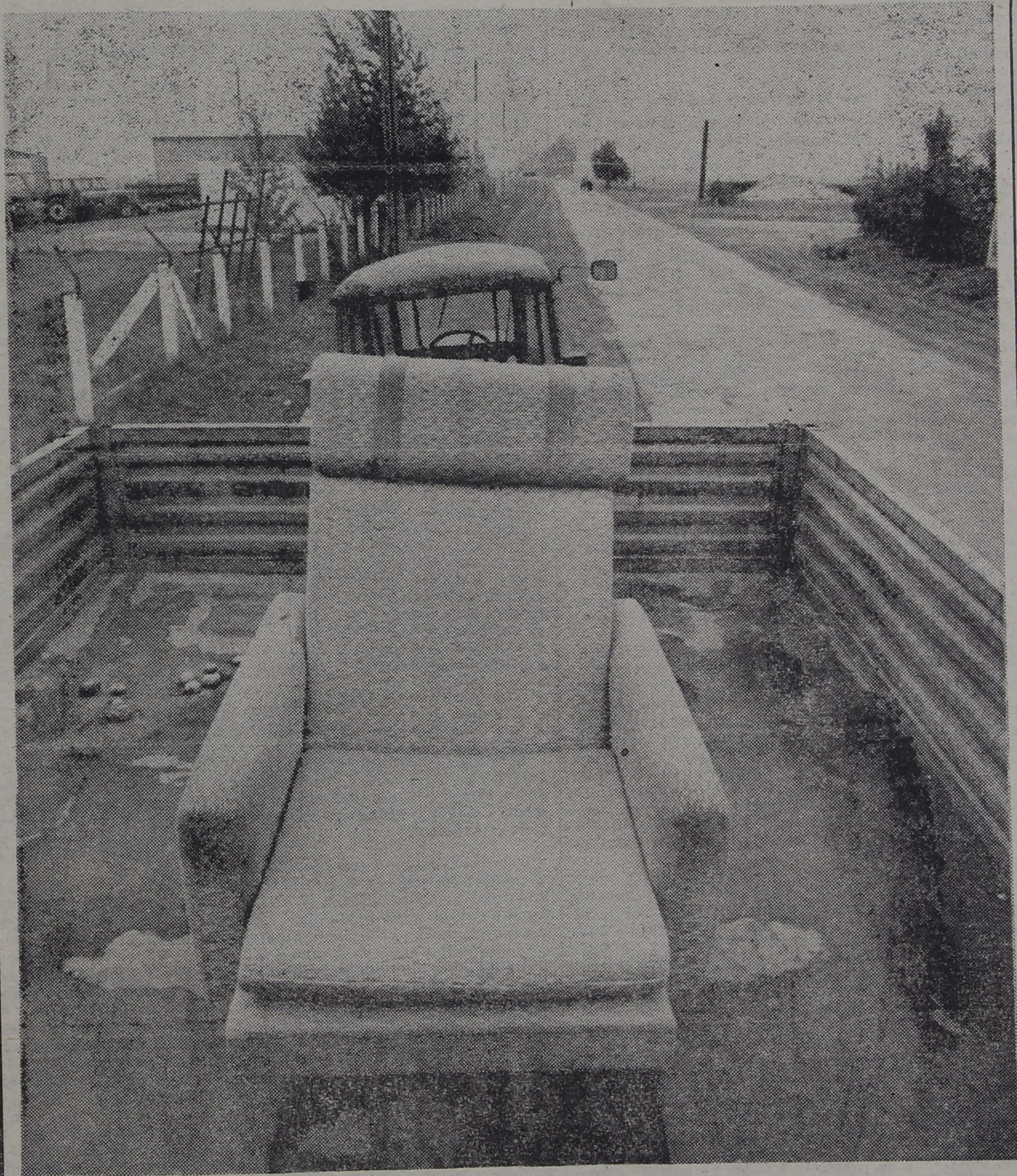
42

(69)

KONTAKTY

25.X.1981

Cena 6 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

mąka z oliwskiego młyna

ADAM JERZY
SOCHA

Trzęsienie ziemi, jakie przeszła Polska w przerwie między turami Zjazdu „Solidarności”, ominęło jego epicentrum. W Trójmieście nie napotkasz dygocących ze strachu. Demonstracyjne przejazdy otwartych jeepów, pełnych milicji, w dniu rozpoczęcia II tury Zjazdu wywoływały tylko wzruszenie ramion. Nie wydają się być wstrząśnięci nawet ci delegaci, których zatrzymano z różnych powodów i wypuszczono tuż przed Zjazdem. Zjazd, którego dojście do skutku stało pod znakiem zapytania, zaczął się nadzwyczaj normalnie. Hala „Oliwii” rozbrzmiewała pieśnią „Boże coś Polskę”, mimo że bez zgody, gdyż część śpiewała: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie”, a część — „pobłogosław Panie”, by w ostatniej zwrotce chór zgodnie zakończył: „racz nam zwrócić Panie”.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

kryminał z prominentem

WŁADYSŁAW TOCKI

Barachło — splunął mężczyzna w drelachu. — Woni! Na wóz z gnojem by taką — mruknął ktoś jeszcze. — Niechby pamiętała, skąd jest.

Tak pożegnano Zofię Ustach, była sekretarz Komitetu Gminnego w Turzli.

— Całe szczęście, że tylko tak — mówi po kilku dniach Władysław Pardo z Kruszyn. — Rzeczy Ustach zapakowano na przyczepę, ona sama wsiadła do lady Elegancja. A w pewnym momencie było już groźnie, mogło więc skończyć się gorzej.

We wtorek, dwudziestego drugiego września, około jedenastej, do budynku Komitetu Gminnego wtargnął podniecony, stuosobowy tłum. Ludzie zajęli stoły, krzesła, podłogę, korytarz. Ci, którzy się nie zmieścili, stanęli pod oknami. Władysław Pardo, człowiek spokojny, zaczął grzecznie Chłom; był jednak wzburzeni; posypały się gęste wiązanki. Po chwili, w gwarze, wyklarowało się jednoznaczne stanowisko: — Dajemy dziesięć minut. Jeśli Ustach nie opuści mieszkania, wyrzucimy wszystko przez okno!

Antoni Kozłowski, sekretarz organizacyjny KG, ocenił, iż groźba może zostać spełniona. Opanował sytuację na tyle, że mógł przemówić: Komitet od półtora roku występował o opuszczenie przez była sekretarz mieszkania w domu nauczyciela. W ciągu ostatnich kilku dni on sam wielokrotnie interweniował w tej sprawie w Komitecie Wojewódzkim. Siedemnastego września sekretarz KG Skłodzki wspólnie z naczelnikiem, jeździli do Zofii Ustach, przekonywali, że sytuacja Sapińskich jest tragiczna, prosili, by zabrała meble i oddała klucze. Bez skutku. Ale dziś sprawa musi

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

IV plenum KCPZPR

W NIEDZIELĘ (18 X) zakończyło trzydniowe obrady IV Plenum KC PZPR. Przyjęło ono rezynację Stanisława Kani z funkcji I Sekretarza KC oraz wybrało na to stanowisko Wojciecha Jaruzelskiego. Prezentu-

jemy dwa najważniejsze dokumenty obrad: tekst uchwały programowej (z konieczności zamieszczamy ją z niewielkimi skrótami) i Apel Komitetu Centralnego do Mas Pracujących Miast i Wsi.

uchwała

1 [...] Oceniając krytycznie dotychczasowy przebieg realizacji IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR oraz wyciągając wnioski z obecnej sytuacji społeczno-politycznej, Komitet Centralny uznaje za naczelną zadanie partii wyprowadzenie kraju z kryzysu.

Jednym z najważniejszych warunków realizacji tego zadania jest konsolidacja szeregów partii na gruncie statutu i programu. [...]

2 [...] Komitet Centralny PZPR zobowiązuje wszystkie instancje i organizacje partyjne do zdecydowanego przeciwstawienia się wszelkim formom działalności sił kontrrewolucyjnych, zwłaszcza skierowanej przeciwko obronności kraju, naszemu sojuszom międzynarodowym i ludowemu Wojsku Polskiemu. Konsekwentnie demaskować trzeba prawdziwe oblicze sił antysocjalistycznych, ich programy, metody działania i powiązania z międzynarodowymi ośrodkami ideologicznej walki przeciw socjalizmowi. [...]

[...] W celu zapewnienia ładu i porządku publicznego, przeciwdziałania anarchizacji życia, organa porządkowe MSW prowadzić będą zdecydowane działania, stanowczo zwalczać łamanie prawa, stosowanie terroru moralnego i politycznego, kolportaż antypartyjnych, wrogich socjalizmowi ulotek i innych wydawnictw.

3 [...] Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej domaga się od kierownictwa „Solidarności”: — poszanowania Konstytucji PRL i obowiązującego porządku prawnego; — odcięcie się od poczynañ wrogów socjalizmu; — natychmiastowego wstrzymania się od akcji strajkowych; — konstruktywnego podejścia do rządowego programu przeciwyłączenia kryzysu gospodarczego i współuczestnictwa w jego realizacji, w tym podjęcia współpracy w ramach komisji mieszanej przedstawicieli rządu i wszystkich związków zawodowych; — uznania, w praktycznym działaniu, sojuszu z krajami socjalistycznymi i przeciwstawienia się kampanii antyradzieckiej; — respektowania wymogów bezpieczeństwa państwa. [...]

[...] Komitet Centralny uznaje za konieczne i pilne podjęcie negocjacji porozumień zawartych między rządem i związkami zawodowymi celem konstruktywnego rozstrzygnięcia spornych problemów i wypracowania pozytywnej platformy współdziałania w najważniejszych dla kraju sprawach, we wszystkich kwestiach dotyczących rzeczywistych potrzeb i interesów ludzi pracy.

4 Komitet Centralny PZPR wysuwa ideę porozumienia wszystkich sił patriotycznych, stojących na gruncie fundamentalnych zasad ustroju PRL, międzynarodowych sojuszy naszego kraju, pokojowego rozwiązywania wszystkich problemów państwa i społeczeństwa. Klasową podstawą takiego porozumienia jest sojusz robotniczo-chłopski. [...]

[...] Front narodowego porozumienia i współpracy powinien być szeroko otwarty dla wszystkich, którzy nie są przeciwko socjalizmowi, którzy chcą aktywnie działać na rzecz ratowania ojczyzny.

5 Komitet Centralny PZPR uznaje za niezbędne przyspieszenie i zwiększenie skuteczności realizacji rządowego programu wyjścia z kryzysu i stabilizowania gospodarki.

W obliczu nadchodzącej zimy administracja państwowa i gospodarcza winny skupić maksimum wysiłków, spożytkować wszystkie inicjatywy i rozwinąć działania zmierzające do:

— zwiększenia wydobycia surowców, a przede wszystkim węgla, m. in. poprzez utrzymanie zasady wyższego wynagrodzenia za pracę w wolne soboty, szczególne uprzywilejowanie w dziedzinie zaopatrzenia górników w żywność oraz inne artykuły; towarzyszyć temu muszą kroki zmierzające do zlikwidowania bojkotu lub wręcz sabotażu wydobycia węgla w wolne soboty;

— ujednolicenia i poprawy funkcjonowania systemu reglamentacji towarów w oparciu o uprzednio sporządzone szczegółowe bilanse żywnościowe;

— zaopatrzenie ludności w opał; — zaopatrzenie rolnictwa w węgiel, energię elektryczną i paliwo kosztem zmniejszenia ilości samochodów służbowych, a nawet ograniczenia materiałów pędnych dla właścicieli samochodów osobowych;

— sporządzenia do dnia 15 listopada br. bilansu potrzeb i ich pokrycia na węgiel oraz podanie go do wiadomości społeczeństwa;

— wydatnej poprawy funkcjonowania transportu kolejowego, jak również komunikacji miejskiej głównie poprzez zwiększenie dostaw części zamiennych, opon i akumulatorów;

— poprawy zaopatrzenia społeczności służby zdrowia w leki, sprzęt i środki higieny.

Komitet Centralny PZPR zwraca się do wszystkich załóg i kolektywów pracowniczych o uznanie tych przedsięwzięć w chwili obecnej za priorytetowe, o ich aktywne poparcie i zaangażowaną realizację.

6 Biorąc pod uwagę iż okres zimy może stworzyć zagrożenie bytu społeczeństwa, Komitet Centralny PZPR zwraca się do wszystkich załóg, do całej klasy robotniczej o podejmowanie pracy w wolne soboty wszędzie tam, gdzie pozwala na to zaopatrzenie w materiały i surowce lub w zamian za inny dzień wolny w tygodniu, jeśli w pozostałych dniach wystąpią ograniczenia dostaw energii elektrycznej.

Komitet Centralny PZPR uważa, że w aktualnej, dramatycznej sytuacji gospodarczej kraju rząd oraz Klub Poselski PZPR winny podjąć natychmiast w Sejmie inicjatywę zmierzającą do czasowego zawieszenia prawa do strajku. Komitet Centralny zwraca się do wszystkich załóg o poparcie tego stanowiska.

7 W celu przywrócenia więzi ekonomicznej między miastem i wsią, rząd winien uruchomić doraźny program — na okres kilku najbliższych miesięcy — pobudzający wzrost skupu w zamian za artykuły i towary nawet kosztem innych sektorów życia gospodarczego, a także konsekwentnie egzekwować realizację programu wydatnego wzrostu produkcji niezbędnych środków dla wszystkich sektorów rolnictwa drogą odpowiedniego zwiększenia nakładów i przekształceń obecnej struktury przemysłu na korzyść gospodarki żywnościowej. [...]

8 [...] Komitet Centralny uznaje za niezbędne, aby Prokuratura Generalna zakończyła do 31 grudnia br. wszystkie toczące się dochodzenia, a także spowodowała szybkie przeprowadzenie tych, które zostaną wszczęte wobec osób winnych nadużyć, zajmujących w przeszłości stanowiska kierownicze. Takie postę-



powanie jest zgodne z zasadą, że za błędy popełnione w kierowaniu życiem politycznym i gospodarczym należy stosować odpowiedzialność polityczną i służbową, natomiast za nadużywanie stanowisk dla osiągnięcia korzyści osobistych i inne przestępstwa pospolite, ponosi się odpowiedzialność karną niezależnie od pełnionych funkcji.

9 Konferencja ideologiczna wymaga jednoznacznego samookreślenia się ideowego członków partii. [...] Kto sprzeniewierza się jej ideowym zasadom, dając temu publiczny wyraz, opowiada się tym samym przeciwko partii, stawia się faktycznie poza jej szeregami. Komitet Centralny oczekuje od wszystkich członków partii aktywnego, tak jak to przewiduje Statut, reprezentowania jej linii we wszystkich sferach życia, w których działają. Komitet Centralny uważa zwłaszcza za konieczne jednoznaczne określenie swego stanowiska politycznego przez aktyw partyjny, kadre kierowniczą instytucji państwowych, przez członków władz partyjnych wszystkich szczebli należących do „Solidarności”. Komitet Centralny przyjmuje do wiadomości deklaracje szeregu członków KC o wystąpieniu z NSZZ „Solidarność”.

10 Komitet Centralny uznaje za konieczne podjęcie przez partię szerokiej ofensywy ideowo-politycznej. Ważną bronią partii w walce o socjalistyczną świadomość społeczeństwa są środki informacji i propagandy. Organizacje partyjne w prasie, radiu, telewizji i wydawnictwach muszą uczynić wszystko, by zagwarantować wpływ partii

na treści informacyjno-propagandowe.

Niezbędne jest również rozwinięcie systemu pracy ideologicznej wewnątrz partii, a w szczególności:

— ożywienie badań naukowych nad kluczowymi problemami obecnej fazy rozwoju społeczeństwa polskiego i stworzenie ścisłej więzi między rozwojem teorii marksistowskiej a praktyką polityczną; w związku z tym Komitet Centralny uznaje za uzasadnioną propozycję zwołania ogólnopolskiej konferencji ideologicznej;

— zasadnicze usprawnienie obiegu informacji wewnątrzpartyjnej, powołanie w tym celu odpowiedniej agencji prasowo-informacyjnej oraz wydzielenie niezbędnych zespołów w strukturze aparatu partii;

— wdrożenie zmodyfikowanego systemu pracy szkoleniowej, której główną funkcją powinno być upowszechnienie znajomości teorii marksizmu-leninizmu oraz marksistowskiej analizy współczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej i gospodarczej.

Cały system pracy ideologicznej w partii służyć powinien kształtowaniu zdolności do prowadzenia żywego dialogu z ludźmi pracy, umiejętności aktywnej obrony polityki partii i zdobywania dla niej społecznego poparcia, odradzaniu zdolności do działań agitacyjnych.

Komitet Centralny PZPR zobowiązuje Biuro Polityczne, Sekretariat oraz Komisję Ideologiczną KC do przyjęcia szczegółowych założeń nowego systemu ideologicznej pracy partii.

apel

W ostatnich dniach wzniosła się znowu fala strajkowa. Z różnych stron Polski płyną zapowiedzi dalszych strajków. Ogłaszane jest pogotowie strajkowe.

Komitet Centralny jest świadom, że w wyniku bardzo trudnych warunków życia i pogarszającego się zaopatrzenia rośnie rozdrażnienie ludzi pracy. Dla wielu robotnie i robotników strajk jest najwyższą formą protestu, do której przylgają się z ciężkim sercem. Wasi reprezentanci, członkowie KC, przedstawili bez osłonek na obecnym posiedzeniu najwyższej instancji naszej partii sytuację i nastroje klasy robotniczej. Rozumiemy i podziwiamy motyw Waszego protestu.

I właśnie dlatego poczucie odpowiedzialności za losy gospodarki kraju, za ułożenie spraw w ojczyźnie zgodnie z założeniami socjalistycznej odnowy, każe nam zwrócić się do Was z gorącym apelem!

Zdezorganizowana gospodarka polska może nie wytrzymać tych nowych ciosów. Znajduje się ona dziś na pograniczu załamania. Konsekwencje tego uderzają przede wszystkim w klasę robotniczą. Ciosy zadane produkcji godzą bezpośrednio w nas wszystkich, zaprzestanie strajków!

Poczucie odpowiedzialności i znajomości faktów każe nam stwierdzić, że za uzasadnionymi powodami robotniczego gniewu kryją się często wrogość Waszego spokoju. Pragną oni za wszelką cenę przeszkodzić wychodzeniu z kryzysu. Pod fałszywymi

pretekstami, często z myślą o przeciwstawieniu się obowiązującemu prawu chcą zepchnąć nas do jeszcze większej biedy. Ich celem jest obalenie władzy ludowej. W imię tego gotowi są doprowadzić do katastrofy narodowej.

SZANOWNI TOWARZYSZE I OBYWATELE — LUDZIE PRACY!

Przerwijmy ten fatalny krag, póki nie jest za późno. Strajkujemy z powodu braku towarów w sklepach, a przez to zmniejszamy jeszcze bardziej możliwości produkcyjne przemysłu i zaostrzamy przyczynę kryzysu. Nikt myślcący nie podcina gałęzi, na której siedzi.

Apelujemy do Was, zaoszczędźmy ojczyźnie strajków! Nie wyrażają one Waszego interesu! Nie tędy droga!

Po Waszej stronie jest nasza partia i wszystkie siły porozumienia narodowego. Niech one będą w demokratyczny sposób wyrażicielami Waszych żądań i Waszego stanowiska.

Nie można dzielić więcej niż się ma, ale to co mamy trzeba dzielić w zgodzie z ludzkim poczuciem sprawiedliwości.

Tylko rozsądkiem i wysiłkiem całego społeczeństwa można zatrzymać dramatyczny bieg wydarzeń w naszym kraju.

KOMITET CENTRALNY PZPR
ZEBRANY NA IV PLENARNYM
POSIEDZENIU

[...] Jednym z zasadniczych warunków życia społecznego, jest wymiana myśli w obszernym i wyższym tego słowa znaczeniu, która skutecznia się za pomocą słowa drukowanego lub żywego, a nawet pędzla i dłuta. I tak np. publicysta, mędrzec, dziejopisarz, mówca, profesor, wreszcie malarz i rzeźbiarz przemawiają do ogółu, który rozumie, zastanawia się, odczuwa, rozumie, uznaje lub potępia, przyjmuje, naśladuje lub odrzuca, odpowiada w formie polemiki, recenzji i opinii publicznej. Działalność jest podobna dla życia społecznego tak konieczną, jak zdrowe powietrze dla człowieka, a woda dla ryby. Wymiana myśli dźwiga postęp i naukę. W ostatnich czasach nawet druk nie wystarcza już w tym celu, więc dla ułatwienia wymiany myśli zbierają się kongresy naukowe, czyli sejmy i sejmyki specjalistów np. przyrodników, ekonomistów, lekarzy, archeologów lingwistów, agronomów itp., którzy dla wspólnych narad zjeżdżają się z różnych krajów, a nawet części świata, co starają się im ułatwić rządy i stowarzyszenia.

O ile tego rodzaju uroczyste zebrania służą tylko dla szczupłej liczby najwybitniejszych osobistości i

Przypominamy, że „Kontakty”, wspólnie z Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, czynią starania o ustanowienie dorocznej nagrody i orderu imienia Zygmunta Glogera, które byłyby przyznawane za prace naukowe i publicystyczne poświęcone kulturze staropolskiej i ludowej oraz za szczególne zasługi w ochronie ich dorobku. Chcemy w ten sposób uhonorować wybitne osiągnięcia z kilku dziedzin: etnografii, archeologii, językoznawstwa, historii piśmiennictwa, kultury materialnej, muzyki i sztuk pięknych.

By przybliżyć postać autora „Encyklopedii Staropolskiej” rozpoczynamy druk pierwszego wyboru jego tekstów publicystycznych rozsianych po wielu pismach. Zebrał je i przygotował do wydawnictwa książkowego pt. „Ludzie znad Narwi” Zenon Piechociński.

zrozumiano tak praktycznie jak we Francji, która, jeżeli się nie mylimy, posiada największą liczbę prowincjonalnych i departamentowych towarzystw i kółek rolniczych, wywierających znamienity wpływ na sprawy rolnicze i na postęp agromonomiczny w kraju. To bowiem, co jest zbyt uciążliwe lub wcale niemożliwe dla jednostki, przychodzi łatwiej dla każdego, choćby powiatowego stowarzyszenia. Mamy tu na myśli takie rzeczy, jak laboratoria

Nie potrzebujemy tu dodawać, że mówiąc o życiu i stosunkach rolników, mamy na uwadze wyłącznie dziedzinę rolnictwa i jego potrzeby, wymagające bezwarunkowo ciągłej wymiany myśli. Umysł ludzki ma bowiem to do siebie, że w ustroju swoim posiada pewną jednostronność, która nagina się dopiero ku prawdzie i niweluje, przy zetknięciu się zdań i rozszerzeniu wiedzy. Już wyżej powiedzieliśmy, że rolnictwo jest gmachem, opartym na

Myśl to wzięta ze starego zwyczaju, a bardzo dobra, gdyż za wypłacone pieniądze rolnik nie zawsze może dostać tych przedmiotów, a prawie zawsze traci jednoroczną paszę i nawozy, co jest przyczyną drugiej klęski, szczególnie zębnej w płodozmianie. Pomimo to, nie słyszeliśmy nic później o tym projekcie. A ileż to jest innych, równie ważnych w każdej okolicy, kwestii: rolnictwa, wzajemnego kredytu, handlu zbożem, komunikacji i dróg, gospodarstwa leśnego, najemnika i wymiaru roboty, sadownictwa, sklepów stowarzyszonych gospodyń wiejskich, gospodarstwa domowego, administracji gminnej, epidemicznych chorób ludzi i dobytku, szpitali i lekarzy wiejskich, weterynarzy itd.

Gospodarstwo w postaci folwarku lub kolonii, jako warsztat z którego rolnik żyje i przysposabia chleb dla kraju, musi być przedmiotem najczęstszych narad i wymiany myśli, co nabiera prawdziwie praktycznego znaczenia dopiero wtedy, gdy kółko rolników robi przegląd szczegółowy danego gospodarstwa, obchodząc pola, łąki, oglądając dobytek, narzędzia, badając miejscowe zwyczaje, czyniąc zarzuty i uwagi. Przy tego rodzaju oglądinach, które są najmielszą rozrywką dla każdego rolnika z powołania, okazuje się często, że gdy jeden ziemianin korzysta już od dość dawna z ulepszenia w jakimś szczególe lub zwyczaju, to inny, o mil kilka zamieszkały, dopiero przy tej sposobności dowiaduje się i zaprowadza to u siebie. Nie potrzebujemy dodawać, że jak nie chodzi tu o studencki popis, tak z drugiej strony byłby równie niewłaściwym fałszywy wstyd i ukrywanie niedostatków gospodarskich. Wiadomo bowiem wszystkim, że nie jesteśmy doskonałymi, a jeżeli się zbieramy dla przejrzenia jakiegoś gospodarstwa, to nie dla pochlebstw, ani adoracji wzajemnej, ale dla korzyści i dla przyjacielskiej porady. Tego rodzaju zaena, przyjacielska kontrola, jest zwykle niezmiernie ważną pobudką do pracy i postępu. Wszelkie jednak zebrania tłumne, chybiłyby celu. Owszem, oględziny rolnicze powinny być mniej liczne, niż zwykłe zjazdy imieninowe. Znamy pewną okolicę, w której około 8—10 obywateli, co dwa tygodnie w ciągu lata, robią wspólną wycieczkę do jednego ze swych gospodarstw, tak, aby corocznie kolej wszystkich obeszła. Ponieważ w każdej okolicy naszego kraju znajduje się kilka lepszych gospodarzy, dla słabszych nadarza się więc wyborna sposobność korzystania z wiedzy i doświadczenia owych współziemian.

Jeżeli nie sposób, aby każdy rolnik zwiedzał i badał gospodarstwa w obcych krajach, lub odległych prowincjach, to łatwiej będzie znaleźć w każdej okolicy jednego, który zwiedzi, zbada i relację sąsiadom złoży. Również, jeżeli niemożliwe jest, aby rolnik nabywał i czytał wszystkie dzieła, w jego przedmiocie i pokrewnych naukach wychodzące, to obowiązek ten można łatwo rozłożyć na okolicę, tak, iż w każdym kółku sąsiadzkim znajdą się wszystkie dzieła krajowe i celniejsze zagraniczne. Tego rodzaju podział pracy, który i teraz w skromnych rozmiarach istnieje, przyniesie może niewątpliwie korzyści dla rolnictwa.

Zbytecznym byłoby dodawać, że wszelkie dysputy i rozrywki, niedotyczące rolnictwa i jego potrzeb, powinny być zebrań rolniczo-sąsiadzkich już dla tego samego wykluczone, że zabierałyby czas przeznaczony na pożyteczniejsze zajęcia, i rolniczy charakter odwiedzin zamieniałyby na wizytowy. Równie zbytecznym byłoby dowodzić, że z rzetelną pracą dla dobra ogólnego, nie chodzi w parze ani czcza ostentacja, ani chłodna etykieta, ani stolik zielony, ani przestarzała już i śmieszna francuszczyzna salonowa, ani drogie wino i długi szereg dań i przysmaków. Zostawmy te wszystkie zbytki uroczystościom imieninowym i tego rodzaju innym zebraniom, jeżeli dobry ton nie pozwala na zupełne zatarcie tego piętna smutnych czasów. Naszym zdaniem nie ma większej ironii jak pasztet na stole, gdzie żyto nie daje nad cztery ziarna, i wino tam, gdzie krowy nie dają mleka, a francuszczyzna tam, gdzie się nie zna własnego kraju.

Korespondencja z guberni łomżyńskiej (fragment), „Kłosy” 1876 r.

ZYGMUNT GLOGER

ENCYKLOPEDIA STAROPOLSKA

ILUSTROWANA

Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest —
swoje obowiązek

TOM I-III.

WARSZAWA
Druk P. Łaskowera i W. Dobickiego
1900

często powtarzać się nie mogą, o tyle pod niektórymi względami ważniejszą rolę odgrywa owa konieczna wymiana myśli w kółkach towarzyskich, złożonych z ludzi wspólnego powołania, a połączonych ściślejszym węzłem miejscowych stosunków i potrzeb. O ile zaś warunki bytu stały się dziś trudniejszymi niż dawniej a ciężary i obowiązki społeczne większymi, o tyle większego znaczenia nabrała owa, że tak powiemy, dźwignia pracy i interesów, którą jest towarzyska wymiana myśli ludzi jednego zawodu.

Żaden podobno zawód nie wymaga tyle, co rolniczy, wzajemnych stosunków pomiędzy ludźmi jemu poświęconymi. Wpływa to już z samej natury rolnictwa, która opiera się na umiejętnym połączeniu teorii z praktyką. Tam zaś, gdzie idzie o teorię, czyli wiedzę agronomiczną, i o praktykę, czyli doświadczenie rolnika, jednostka nigdy, sama sobie wystarczyć nie może, a odosobniona i zamknięta, przedstawia najczęściej pewne strony ujemne. Wiedza bowiem bogatsza najlepiej zasila uboższą, przy zetknięciu się w żywym słowie, a doświadczenie rolnicze ma to do siebie, że wartość jego mnoży się przez liczbę ludzi, którzy pracując w tym zawodzie, zbierają się dla udzielania drugim własnych spostrzeżeń. Podobno doniosłości tych prawd nigdzie nie

chemiczne, stacje meteorologiczne i doświadczenia, biblioteki rolnicze, ułatwienia w korespondencji, a nawet w sprowadzaniu nasion i narzędzi itp. Potrzeba stowarzyszeń rolniczych powiatowych lub gubernialnych, na wzór prowincjonalnych frascuskich, jest tak ważną w każdym kraju rolniczym, ale zarazem tak daleką od urzeczywistnienia u nas, że nie będziemy tu dziś mówili więcej o stowarzyszeniach, ale tylko o życiu towarzyskim rolników.

Przed laty trzydziestu lub czterdziestu, życie towarzyskie na wsi posiadało nierównie więcej od dzisiejszego stron tak ujemnych, jak dodatnich. Wszystkie strony ujemne przedstawił nam w postaci ostrej, ale szlachetnej i pożytecznej satyry, August Wilkoński. Strony zaś dodatnie polegały na większej patriachalności, spójni, serdeczności, solidarności i wzajemnej pomocy, a mniejszej etykietce i powierzchowności niż dzisiaj. Później, za czasów Towarzystwa Rolniczego i następnych przejść, zmieniło się to wszystko; z jednej ostateczności przeszliśmy do drugiej. Zbyt nia lekkość i marnotrawienie czasu na nieużyteczne rozrywki przemieniły się w dzisiejszy brak stosunków rolniczych i zaskorupienie, które jest zwykle źródłem nieradności, sobkostwa, ościężałości, ignorancji i pośrednią drogą do upadku.

harmonii wiedzy i doświadczenia. Gmach ten składa się z tysięcznych szczegółów, którymi są wszelkie miejscowe warunki socjalnej, geograficznej, klimatycznej, przyrodniczej i fizycznej natury. Daje to z jednej strony niezmiernie szerokie i ważne pole do wymiany myśli dla rolników w każdym zakątku kraju, a z drugiej wymianę taką, czyli zetknięcie się zdań rozumowanych i naradę czyni nieodzownym warunkiem rozwoju tych okolic. Jeżeli bowiem z różnorodności położenia wypływają również różnorodne potrzeby, to któż nad miejscowych mieszkańców, obdarzonych zdrowym sądem, może lepiej zbadać położenie rzeczy i środki zaradcze zastosować?

Ileż znowu myśli praktycznych ginie dziś w zaciśniętym bez poparcia przez szersze kółko ziemian, dla prostej przyczyny braku wzajemnych stosunków rolniczych. Ileż ważnych zamysłów i projektów nie ujrzy nigdy światła dziennego ani życia, dlatego, że nie mogą być pierwiej przedyskutowane i sformułowane w kółkach rolników. Podano gdzieś np. projekt powiatowych stowarzyszeń od ognia, których członkowie, zamiast pieniężnej składki, obowiązani byłiby każdemu z ich liczby, dotkniętemu pożarem, zwrócić w naturze postradaną w płomieniach ilość słomy, zboża, siana itd.



Zaba w rzadkiej wodzie

W pierwszym dniu obrad umysły rozpała świeża sprawa ustaw sejmowych o samorządzie załogi i przedsiębiorstwie. Sprawa „Posłania”, o którą rozpytałem w kulisach, wydaje się jedynie mnie nurtować. — Wiele szumu o n.c. — kwituje Stanisław Szymkowiak z Zielonej Góry. — Gdybyśmy nie uchwalili „Posłania”, przyczepiono by się do czegoś innego.

— Czy to jednak nie był błąd? — Wierzę w brzuchu następnego delegata. — Dlaczego strach ma być błędem politycznym? — odpowuje pytanie Jacek Cegielski z Gdańska. Ten luz objaśnia mi Józef Lubieniecki z Olsztyna: — Jeśli człowieka ciągle opluwają, przestaje reagować.

Rozpoczęło się wielkie pranie Uchwałą I tury Zjazdu była kategorią. Żadnych ustępstw w sprawie samorządu. Kompromis, na który zdecydowała się „czwórka” z Prezydium KKP, wywołał nie lada burzę. Usprawiedliwienie Wałęsy dowcipnie podsumował jeden z mówców: — Zaba jak nie umie pływać, tłumaczy się, że woda za rzadka. — W tym przypadku zaba popłynęła w dobrym stylu. Nie wszyscy w kraju zdawali sobie sprawę, ile zależało od tego, co zdecyduje Sejm w dniu 25 września. Grzegorz Palka na konferencji prasowej powiedział, iż jedna z posłanek zapewniła go, że większość posłów będzie głosowała za projektem „Sieci”, i późniejszy zapis wprowadził ich w osłupienie. Komentarzem do tego mogą być słowa Leopolda Zgody z „Małopolski”: — Tylko nienawiść odrzuca słowo kompromis.

mąka

W przerwie obrad uciałem sobie pogawędkę z Jankiem Sendurowiczem z regionu Warmińsko-Mazurskiego, byłym dyrektorem. Zapytałem, czy pod rządami obowiązujących teraz ustaw powróciłby na stanowisko dyrektorskie.

— W tej chwili nie, dopiero jak poznam przepisy wykonawcze. Ustawy stworzyły szanse dla gospodarki, ale złe przepisy Rady Ministrów mogą je zniweczyć. Związek powinien teraz walczyć o takie przepisy, by nie uczyniły z samorządu fikcji.

Gdy argumenty się wyczerpały, emocje opadły, rozpoczęła się mozolna praca nad uchwałą w tej materii. Maciej Seweryński z „Mazowsza”, który zaangażował się w tę sprawę całym sercem, otrzymał zdrowego kuksańca od „Trybuny Ludu” — Czytał pan? — zagadnął mnie w holu. — Krzykaczy na Zjeździe traktuje „Trybuna” pobłażliwie; ja nie krzyczałem, tylko spokojnie zgłosiłem swoją koncepcję. Oni nie boją się krzykaczy, tylko tych, co myślą.

Sekundowałem Maciejowi Seweryńskiemu przez cały czas trwania debat nad kolejnymi wersjami tej uchwały. Niefart towarzyszył jej od początku. Prezydium Zjazdu, gwoździł wymuszenia jak najłagodniejszej treści, utracala tę sprawę, dopóki się dało. Dopiero 3 października sytuacja dojrzała.

Trzeba przyznać, że pan Maciej z Grzegorzem Palką i Zbigniewem Kowalewskim (Łódź) dyplomatycznie ją wyręczyli. Postanawia się w niej, że szereg przepisów obu ustaw zagrażających samorządności i samodzielności przedsiębiorstw, a tym samym godzących w reformę gospodarczą, podda się referendum w zakładach pracy. Załogi mają zdecydować, czy to one będą zarządzać przedsiębiorstwem, czy dyrektor; mają opowiedzieć się za składem komisji Konkursowej, wyłaniającej kandydata na dyrektora — ustawa podtrzymywała tutaj model KSR-owski; rozstrzygną listę przedsiębiorstw nie podlegających ustawom oraz podtrzymają lub uchylą przepis zezwalający na zmuszanie przedsiębiorstw do zrzeszenia się. Maciej Seweryński tak mi tę uchwałę obrazowo wytłumaczył: — Wpierw chwalimy Sejm, następnie stwierdzamy, że zachodzi potrzeba nowelizacji ustaw, a na koniec mówimy załogom: „Twórcie autentyczne samorządy”.

Zaba znów będzie musiała wejść do wody.

Zjazdowe Panoptikum

Porywanie się na opisywanie

Zjazdu „Solidarności” jest szaleńczym zamiarem. To tak, jak opisywanie barw pawiego ogona. Próbuje jednak uszczęknąć dla Czytelnika troszeczkę z niepowtarzalnej atmosfery tego widowiska. W kulisach spotykało się przeróżnych ludzi, którzy ścignęli do Gdańska ze wszystkich stron kraju i świata. Wielu z nich przywoziło na myśl figury woskowe z panoptikum osobliwości. Pierwszego dnia furorę zrobił najstarszy generał II Rzeczypospolitej, Mieczysław Boruta-Sprechowicz, urodzony 1894 roku. W swej rogatywce z piórkami Brygady Podhalańskiej budził sensację. Same wymienianie znaczących dat z jego życiorysu zajęłoby stronę. Na Zjazd przyleciał „spod samiuśkich Tater”. Gdy w swym pięknym wystąpieniu wymienił liczbę obozów i więzień, które przeszedł, w tym słynne Butyrki, wszyscy wstali z miejsc. Znakomitą refleksję wyraził się prowadzący obrady. W odpowiedzi na „Bóg-Honor-Ojczyzna”, gdy trwało fetowanie gościa, oznajmił, iż wśród delegatów Ziemi Łódzkiej jest Marek Edelman — zastępca Komendanta Żydowskiej Organizacji Bojowej w Getcie Warszawskim. Poderwały się serdeczne brawa. Był to wielki dzień dla Wojciecha Ziemińskiego, założyciela — wraz z gen. Borutą-Sprechowiczem — Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (KPSN). Od pierwszego dnia krążył w kulisach enfant terrible „Solidarności”, Jacek Kuroń. Był niezmordowany. Uczestniczyłem w zabawnej scenie. Z Adamem Michnikiem podliczaliśmy, ile kogo jest na Zjeździe, gdy naraz przeleciał obok nas Kuroń coś perorujący przez ramię, a za nim — wataha dziennikarzy, depczących mu po piętach. Ze znanych osobistości była również zo-

stycznej współpracy bratnich piór. Tenże korespondent TASS-a zbyt późno wpadł do hali, gdy właśnie kończyło się jedno z wystąpień „anty”. „Na szczęście” redaktor z „Trybuny Ludu” był na posterunku i poddyktował tekst koledze. Dwóch korespondentów z Węgier ani na minutę nie opuszczało sali obrad. Zachłaniając przysłuchiwali się wszystkiemu — byli zafascynowani. Konkurowała z nimi 71-letnia Janina Arasimowicz z Suwalskiego, która przebywała na sali kolkiem od mszy porannej do zakończenia obrad. Zapytałem pisarza Marka Nowakowskiego, czy napotkał w tej hali bohaterów ze swoich książek. Rozejrzał się uważnie wokół i rzekł: — Gdzieś tu są.

Dużym powodzeniem cieszyła się jedna ze ścianek ustawionych w holu prasowym. Pojawiały się na niej rysunki i teksty satyryczne, stanowiące komentarz do akcji. Był też „Apel żon delegatów”: W razie nieprzyjazdu mężów do domu do środy — delegaci ci będą odsunięci od tożsac na czas trwania kadencji”. I dopisek: „Jeszcze są dziewczyny w Gdańsku”.

Pod wielkim parasolem „Solidarności” schroniły się różnorakie grupy i organizacje, począwszy od Ligi Obrony i Rozwoju Osobowości, a skończywszy na harcerzach z kręgu im. Andrzeja Małkowskiego. Wszystko, co się w Polsce odradza, co chce być autentyczne, ścignęło na ten — jedyny w swoim rodzaju — karnawał demokracji w hali „Oliwii”. Przybyli też szczeni politykierzy, ale tych akurat „Solidarności” ustawiła poza parasolem.

Dziękczynienie

Był taki moment na Zjeździe, kiedy wydawało się, że jedność tego



na Leszka Moczulskiego. Przyjechała z najnowsza pozycja męża „Plan stabilizacji gospodarki”. (Został zgłoszony przez jednego z członków KPN-u i delegata zarazem, ale Komisja Programowa odrzuciła go, jako produkt organizacji politycznej).

Swoją dzień miała również Anna Walentynowicz, zaliczana do grona nawiedzonych. Poinformowała o swoich wojażach zagranicznych. „Byłam w Izbie Lordów, przyjął mnie premier Francji”. Co złośliwi mówili później w kulisach, że następną wizytę pani Ania złoży Reaganowi, by nakłonić go do założenia w Białym Domu „Solidarności”. Rola Anny Walentynowicz na Zjeździe polegała na szkoleniu Wałęsę i składaniu autografów. Pomysł Kazimierza Switonia, zgłoszony z trybuny zjazdowej, by założyć przy „Solidarności” coś w rodzaju ZBoWiD-u dla byłych więźniów politycznych, należał również do przedniejszych materiałów na kulturalne dowcipy. Kuluary były czułym sejsmografem wszelkich wydarzeń na sali obrad i bezbłędnie komentowały każdą sprawę. Po aresztowaniu Tadeusza Areny ze Szczegółowic modne stało się mówienie na prokuraturę — „prokuraturo”. Kupiono również na pniu określenie Jerzego Jastrzębskiego z „Mazowsza”, że DTV ma się tak do informacji, jak pałka milicyjna do rurki z kremem. Gdy z kolegą spotkałem w kulisach anarzystę z Wrocławia, wcale mnie to nie zdziwiło. Przywiózł ogromny eleborat do Prezydium Zjazdu i stanął w kolejce po baterie do zapalnika. Jakby coś niebawem wyleciało w powietrze — ani chybi — byłaby to sprawa tego pana.

Smakowite sceny można było ujrzeć tylko na tym Zjeździe: na przykład korespondenta TASS-a w przyjacielskiej rozmowie z Kuronem. Byłem też świadkiem internacjoni-

wielomilionowego ruchu pręsnie. Zaczęło się od wystąpienia w trzecim dniu obrad prof. Edwarda Lipińskiego, który w imieniu KSS „KOR” odczytał oświadczenie o rozwiązaniu komitetu. W kulisach — pustych w tym momencie — stał, oparty o ścianę, z opuszczoną głową, Jacek Kuroń. Historia rozwiązywania się KOR-u stała się już anegdotą. Od sierpnia 1980 roku organizacja ta rozwiązywała się dziesięć razy. To też wybranie akurat Zjazdu na oficjalny termin rozwiązania wzbudziło podejrzenie wśród części delegatów, że chodzi tu o jakąś kolejną grę Kuronia. Po moim profesor, który mocno przeszarżował, Andrzej Sobieraj (Radom) przedstawił Zjazdowi projekt uchwały robotników Radomia i Ursusa z podziękowaniem dla KSS „KOR” — „za obronę interesów robotników i sprawy narodowej”. Na wieczornym zebraniu delegatów regionu „Mazowsze” Paweł Niezgodzki zgłosił projekt uchwały, która określała rodzaj „Solidarności” i wyrażała podziękowanie dla opozycji w ogóle, bez wymieniania KOR-u z nazwy. Projektodawca motywował to tym, że inne ugrupowania się obraża, gdy wymieni się tylko jedno z wielu. Projekt ten nie uzyskał placetu wszystkich delegatów, wśród nich — czterech członków KOR-u, Jana Józefa Lipskiego, Haliny Mikolajskiej, Zbigniewa Romaszewskiego i Henryka Wujca. Replikowali: to jest żenujące, by teraz, po pięciu latach, kiedy jedynie intelektualiści z KOR-u mieli odwagę przyjąć z pomocą robotnikom, wypominać im, że chcą społecznego dziękczynienia. Najmocniej dotknęło to Jana J. Lipskiego, który oświadczył, że jest mu przykro, i że będzie jutro prosił Sobieraję, choćby na klęczkach, by ten wycofał swoją uchwałę. Tak też się stało.

Gdy czwarty dzień obrad miał się

ku końcowi, Bogdan Sonik z „Małopolski” zgłosił w imieniu swojego regionu projekt uchwały, będący powtórzeniem uchwały Sobieraję, lecz przedłużonej o część mówiącą, iż „Solidarności” jest kontynuacją KOR-u. Sprowokowany tym Paweł Karol Niezgodzki poprosił o głos. Przewodniczący próbował utrzeć jego wnioszek, czując, co się święci, lecz Niezgodzki uciął te próby stanowczo: — Panie przewodniczący, proszę nie używać wybiegów formalnych! — po czym przeczytał projekt swojej uchwały. Delegat Dolnego Śląska zgłosił propozycję poddania projektów obu regionów głosowaniu. Kilka osób z „Mazowsza” gwałtownie zaprotestowało: — To nie jest projekt naszego regionu, a tylko Niezgodzkiego.

Podczas głosowania pojawił się w różowym humorze Jacek Kuroń. Liczenie głosów podniosło temperaturę sali. Spytałem Kuronia, dlaczego ta sprawa budzi tyle emocji. — Bo Zjazd dał się podzielić — odpowiedział.

— Czy ta szczelina będzie się powiększała?

— Zobaczmy — rzucił półgębkiem.

Komisja skrutacyjna ogłosiła wynik głosowania. Za projektem Sonika opowiedziało się 371 delegatów; przeciwko było 229. Teraz projekt Niezgodzkiego. Przeszedł swobodnie. Brawa. W tym momencie poderwał się Sobieraj: — W takim razie zgłaszam na powrót uchwałę, która powie prawdę o działalności KOR-u.

Gdy Sobieraj odczytywał uchwałę do mikrofonu, podszedł Lipski prosiąc o głos. Prowadzący obrady — nie dostrzegając co czy też nie chcąc dostrzec — udzielił go komuś innemu. Lipski, zrezygnowany, od-

z oliwskiego
młyna

szedł kilka kroków i osunął się na ziemię. Powstało piekielne zamieszanie. Omal nie doszło do rękoczynów. Nieorientowani pytali: — Co się stało?

Maciej Kołaczkowski („Mazowsze”): — Grupa gówniarzy endecka rozróbę zrobiła.

Jan Moska, z orłem w koronie w klapie (Dolny Śląsk): — Jaką rozróbę? Dlaczego w tamtej uchwale nie było słowa o Kościele?

Maciej Kołaczkowski: — Tu chodziło o proste podziękowanie, a nie o rodowód „Solidarności”.

Jan Moska: — „Solidarności” stworzyli ci, którzy oddali życie pod bramą Stoczni, a nie KOR.

Wymiana zdań staje się coraz gorętsza. Powieksza się krąg zacietrzewionych. Raptem ponad tumult przebiega krzyk: — Nie klóćcie się, hymn śpiewaj! — Gestykulujące gwałtownie przed chwilą ręce opadają w dół. Wszyscy nieruchomieją. Koniec hymnu. Na powrót podnosi się wrzawa. Kuroń ma niepewną minę: — szedł Powstanie Warszawskie to kryształowy człowiek. — Michnik Janeczek nigdy dupy nie dał, prętnaczki obiegającym go: — „Małopolska” zgłosiła uchwałę, gdyż była zdziwiona, że Sobieraj wycofał swoją. — Lipski odzyskuje przytomność. Odwożą go do szpitala. W pokoju hotelowym, gdzie mieszkał Lipski (człowiek po dwóch operacjach serca), zastaje Marka Rutkowskiego z Zambrowa.

— Jeszcze wczoraj mówił — odpowiada Marek — że lud zawsze odwraca się od swoich dobroczyńców.

Pod salą, gdzie codziennie po zakończeniu obrad odbywa się zebranie delegatów „Mazowsza”, stoi kilka osób. Seweryn Jaworski informuje, że zebranie odwołane. Ludzie są jednak zbyt podminowani. Przed drzwiami rozpoczyna się wymiana zdań. Maciej Seweryński mówi, że grupa Niezgodzkiego posłużyła się starym chwytami z mansonami, Żydami, komunistami i cyklistami. Głos z boku: — Jak chłopcy z „Ursusa” się dowiedzą, to go zabiją. — Jaworski uspokaja. Jego zdaniem — obie strony nie są w tej sprawie czyste.

Następnego dnia obrady otwiera wykład księdza Józefa Tischnera. Jest to wykład zacierający wczorajszy incydent. „Czasami bywa gorąco, wieje rozmaite wiatry. Skrzydła tego wiatrak trzeszczą. Wydaje się, że lada chwila pęknie. Potem przychodzi powiew światła i rozumu, młyn rusza. I oto zaczyna się sypać



pierwsza mąka [...]. Nie osiągnie się prawdy w samotności [...]. Sumienie „Solidarności” bierze w obronę zarówno tych, którzy leżą pobici przy drodze, jak tych, którzy starają się tym cierpieniem ulżyć”.

Okazuje się, że Sonikowi zmyto wczoraj głowę, gdyż z nikim nie konsultował tej uchwały, a zgłosił w imieniu „Małopolski”. Pisał ją na kolanie po nagraniu mu sprawy przez ludzi z „Mazowsza”. Przede mną ukrył, że był współpracownikiem KOR-u. Czy tego Kuroń chciał, czy nie, uchwała dziękczynna stała się próbą sił przed wyborami. Gdy sprawa powróciła w ostatnim dniu Zjazdu (7 X br.), wydawało się, że ponownie wybuchnie awantura. Wiadome siły przez cały ten czas nie próżnowały. Na murach pojawiły się napisy: „KOR=Żydz”. Na salę podzucano paszkwilanckie ulotki o antysemickim zabarwieniu. Pod głosowanie ponownie poddano obie uchwały: Niezgódzkiego i Sobieraja. Tym razem prezydium umiejętnie rozegrało tę sprawę. Przed głosowaniem tekstu Sobieraja został odczytany list od Lipskiego, list pełen gorczy, który wpłynął do prezydium już 1 października. Uchwała została przyjęta miażdżącą większością głosów. W wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego” Kuroń żalił się, że miał różne ciemne momenty w życiu. Ten, związany z KOR-m, był najjaśniejszy, a został odebrany jako najciemniejszy.

Występ „Mazowsza”

Jeszcze raz „Mazowsze” zwróciło na siebie uwagę Zjazdu — podczas wyborów do Komisji Krajowej. Na siedem miejsc mandatowych zgłosi-

steżolog, miała ciężką przeprawę. — Dlaczego lekarze twojej specjalności zajęli się pracą związkową. — Obierając tę specjalizację nie liczyliśmy się z możliwością dorobienia się, lecz z myślą służenia ogółowi — odpowiedziała. Jej mocnym punktem było to, że zorganizowała bank leków. Jerzy Jastrzębowski (lat 44, żona, naty, wykształcenie wyższe, pracownik PR) swoimi atakami na DTV zrobił furorę. Otrzymał pytanie, jak zdobyć dostęp do RiTV. — Na pewno nie barykadowaniem bram. To są dla państwa obiekty strategiczne. Jedyną drogą jest wywarcie nacisku na rząd — tłumaczył pytającym.

Ciekawy życiorys ma Seweryn Jaworski. Został wydany z partii w 1956 roku — za przeprowadzenie dzieci z domu opieki społecznej do obiektu, który bonzowie partyjni upatrzyli na swoje apartamenty. Stał za to przed sądem. W krajówce chce zająć się sprawami praworządności. Pytanie: — Podpisał deklarację Klubu Służby Niepodległości? — KSN został powołany przez Wojciecha Ziemińskiego w dniu rozwiązania KOR-u. — Jak pogodzisz przynależność do tej organizacji z działalnością związkową? — Odpowiedź: — To była tylko deklaracja ideowa, organizacja nie istnieje. — Maciej Kołaczkowski (mgr chemii, 43 lata): — Nie należę do żadnej partii ani konstytucyjnej, ani pozakonstytucyjnej. W krajówce chciałbym się zająć sprawami edukacji narodowej. Sympatyczny człowiek, uczestnik wileńskich wypraw w Himalaje, ale z góry wiem, że nie przejdzie: również luzak. Jan Kosmahl (lat 50) organizował akcję na rondzie w Warszawie. Jego credo: walka o to, by w Polsce obywatel nie miał do czynienia z mafią partyjną. Wojciech Lasocki (lat 31,

Poza tym wiele osób z naszego regionu zasiada w komisjach, co na suwa podjęcie, że chcemy zdominować Zjazd.

Przed drugą w nocy skończyły się trele „Mazowsza”. Rano złapał mnie dziennikarz Andrzej Potocki: — Wiesz, kto się załapał z „Mazowsza”? Te osoby, których nazwiska były umieszczone na karcie preferencyjnej, krążącej z rąk do rąk podczas kreślenia. Odpadł tylko Kazańczuk.

Odczytał mi: Bugaj (48 głosów), Geremek (46), Onyszkiewicz (46), Wujec (43), Jankowski (38), Janas (37), Romaszewski (36), Jaworski (35), Roman (34), Dyner (32), Greziak (29).

Do drugiego występu „Mazowsza” doszło już przy pełnym audytorium zjazdowym. Liczba solistów — 33. Do momentu zamknięcia list zgłoszeń w „Mazowszu” trwało gorączkowe łapanie niezbędnej liczby podpisów do samego kandydowania. W kulisach śmiano się z „mazowszaków”, że chcą władzy. I ruszył wyborczy kombajn. Kosili partyjnych lub byłych partyjnych, KPN-owców, a i trochę wyszczerbił ludzi z KOR-u. Z „Mazowsza” w I turze przesłiznął się przez ucho igielne tylko Onyszkiewicz. W II turze poprzeczkę przesłiznął Janas i Jankowski; ten olbrzym — spawacz z Uniwersytetu Warszawskiego, swego czasu mistrz Polski w judo, imający się rybactwa, budowlanki, ciesiołki itd. — zbierał najgorętsze gratulacje. Przeskoczył również Henryk Wujec. W III turze doszedł ich na swym antytelewizyjnym koniku Jerzy Jastrzębowski. Przed IV turą głosowania przy sektorze „Mazowsza” wybuchła wrzawa. Delegaci z innych sektorów podbiegli do Henryka Wujeca, który przysiadł się do ładnej delegatki ze Śląska-Dąbrowskiego. W

kontakty kontaktów

☆

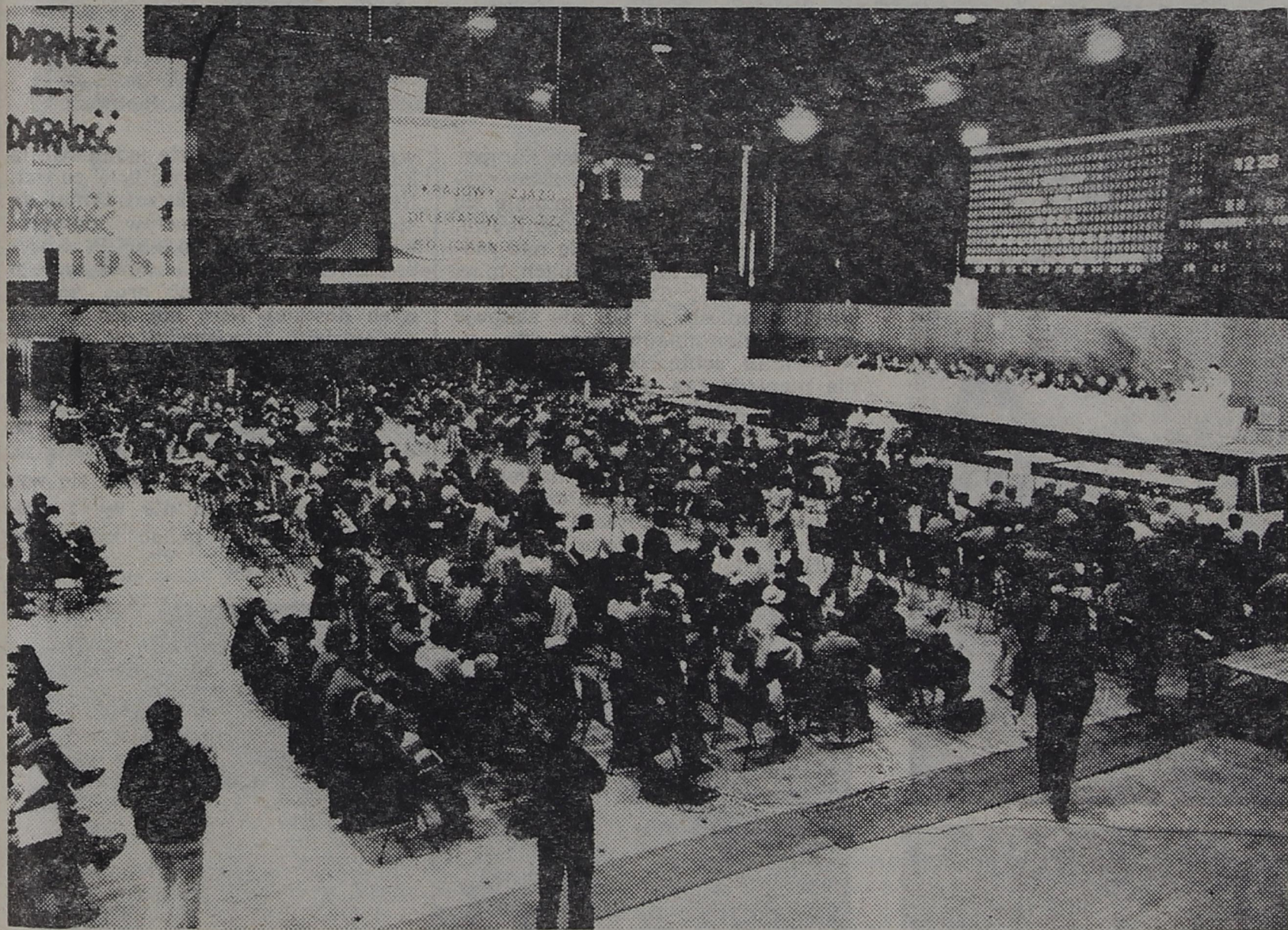
W numerze „Kontaktów” z dnia 11 X 81 r. w rubryce „Śpięcia” ukazała się notatka o podjechaniu erki na sygnale do CPN-u. I oto kilka słów wyjaśnienia w tej sprawie do osoby, która fakty nie sprawdzone i gołosłowne zamieszcza w tak poczytnym tygodniku, krzywdząc i znieważając tych, którzy kilka razy dziennie narażają swoje życie, aby ratować je innym. W dniu 25 IX 81 r. o około godz. 16.00 na ulicy Świerczewskiego czterolatka dziewczynka wpadła pod autobus. Po przewiezieniu jej z miejsca wypadku do szpitala w bardzo ciężkim stanie okazało się, że trzeba będzie ją odwieźć do Białegostoku. Na dyżur w tym dniu wystawiona była erka LOA 306B i za-tankowana przed dyżurem do pełna, jako że jestem kierowcą od lat kilku i znam swoje obowiązki. W związku z bardzo ciężkim stanem dziecka zdecydowano, że do transportu użyta będzie nowa erka LOA 070C, nie wystawiona jeszcze na dyżur, gdyż dziecka z pękniętą podstawą czaszki wymagało natychmiastowego i delikatnego przewiezienia. Nie użyto do tego celu fiata, ponieważ aparatura niezbędna do transportu nie mogła być użyta w tego typu karetkach. I oto cała przyczyna, dla której erka 070C jechała na sygnale do CPN-u, „prze-rażliwie wyjąc na całą okolicę”.

Szanowny „panie obserwatorze”, pisząc do redakcji zapomniał pan o wzięciu do ręki książki Jana Kamyczka o zasadach dobrego wychowania i chyba dlatego zapomniał pan podpisać się pod notatką, kierując ją wyraźnie do mnie — cyt. „Kierowco erki LOA 070C!”. Być może był pan jednym z tych dwóch podchmielonych przechodniów idących przez stację CPN i mrużących pod nosem, że ten wyjazd erki na sygnale trzeba sprawdzić. Dziwi mnie, że napisał pan notatkę bez uprzedniego pofatygowania się do szpitala i sprawdzenia rzeczywistych faktów. Jeżeli natychmiastowa pomoc w nagłych wypadkach tak bardzo niektórym przeszkadza, to bardzo proszę o podanie mi nazw ulic, którymi mogę jeździć na sygnale, a które wypadłoby omijać, aby nie zakłócać niektórym osobom popołudniowego odpoczynku przejmującym wyciem.

MAREK SZUBA
kierowca erki LOA 070C

Od autora. Jeżeli nawet zaistniała sytuacja nie wynikała z pańskiego niedopatrzeń, dziwi mnie bardzo ton oburzenia i zdziwienia, że ktoś mógł podać ten fakt do rubryki „Śpięcia” i to bez konsultacji z Pogotowiem. Niby co miał sprawdzać naoczny świadek tego incydentu? Fakty mówią same za siebie: łomżyńska erka zajeżdżająca na sygnale do tutejszego CPN-u, to skandal. Winny może być jedynie kierowca lub jego przełożeni, a konsekwencje ponosi ciężko chory człowiek, w tym wypadku dziecko. Nie rozumiem, dlaczego przypuszcza Pan, że jedynie kogós pijanego mogło to zdziwić. Zapewniam Pana, że wielu zupełnie trzeźwych kierowców było tym zbulwersowanych. Niepotrzebnie ośmieszają się Pan nedorzecznymi propozycjami wyznaczania ulic do przejazdu karetkom. Prawo i kodeks drogowy wystarczająco dobrze regulują tę sprawę. Rozumiem, że przemawia przez pana gorzyc i zdenerwowanie. Może jednak zastanowiłby się Pan pod którym adresem powinny być skierowane Pańskie pretensje. Interesuje mnie, kiedy Pańscy przełożeni dadzą jakieś wyjaśnienie w tej materii. Znając trochę życie przypuszczam, że na pewno znajdą jakieś sensowne tłumaczenie. I jeszcze jedna uwaga do Pana. Wprawdzie komplementuje pan „Kontakty” za poczytność, ale gdyby Pan sam czytał je częściej, zauważyłby Pan programową anonimowość „Śpieć”. Jej zasadność była już kilkakrotnie tłumaczona czytelnikom i zapewniam Pana, że nie ma w tym nic sprzecznego z savoir-vivre’owymi zasadami Jana Kamyczka.

5
KONTAKTY
25.X.1981



ło się 33 kandydatów. Tak ostra walka wyborcza nie miała miejsca w innych regionach. Zwabiony zapowiadana „rzeź” w „Mazowszu” świadczyłaby przy prawyborach. Miałem chyba nosa, skoro wśród dziennikarzy była Janina Jankowska, laureatka PRIX ITALIA. Jako pierwszy ze znanych zaprezentował się Ryszard Bugaj — ekonomista, który po programie telewizyjnym, dotyczącym wolnych sobót, zdobył w Związku dużą renomę. Delegaci wypytywali go na temat ustawy o samorządzie. Odpowiedzi były wymijające. Jerzy Dyner (nieukończona studia wyższe) deklarował pracę w komisji do spraw rolnictwa. Naraził się podczas dyskusji programowej ekspertom twierdzeniem, że człowiek porządkujący znajomość wszystkiego jest blagierem. Marek Hołuszko sorzedował swój życiorys: — W 1968 roku, jako maturzysta, zorganizował strajk szkolny. — Gdy oświadczył, że jest przeciwnikiem wszelkich grup, które chcą wykorzystać Związek dla swoich celów, był na przegranej pozycji w „Mazowszu” luzaki z reguły nie przechodzą. Tu chadza się partiami. Bronisław Geremek — tuż regionu; jego prezentacja jest formalnością. Anna Greziak, lekarz ana-

studia politechniczne) w 1976 roku zerpnął lokomotywę z szyn podczas strajku w „Ursusie”, na Zjeździe znany z ataków na działaczy, którzy przyznawali sobie wysokie pensje. Przy Tadeuszu Matuszku ujawniła się linia podziału, biegnąca przez region (— U nas jak żyłeta ciało — powie mi Marek Rutkowski).

Frontalne ataki zaczął się przy kandydaturze rzeczniaka prasowego regionu, Pawła Niezgódzkiego. Padło pytanie o zajęcie z Lipskim. Ktoś z rodziny Lipskiego gwałtownie zaprotestował i poprosił, by nie poruszać tej sprawy. Zbiżniowa Romaszewskiego, członka KOR-u, znanego z działalności interwencyjnej w sprawach prześladowanych ludzi, zapytano, czy udzieliłby pomocy prześladowanemu Czubińskiemu. — Tylko wówczas — odpowiedział — gdyby wykonywał inną pracę.

Wiktor Świtalski, zbliżony do partii Niezgódzkiego, został zdyskredytowany sugestią, że w zakładach Świerczewskiego SB pomagało mu założyć „Solidarność”. Listę zamknął Henryk Wujec. Dostał pytanie, skąd się bierze niechętny stosunek Zjazdu do „Mazowsza”. — Szereg osób organizuje różne fronty — odrzekł. — Konflikt u nas rzutuje na Zjazd.

czym sensacja? Owa pani jest członkiem KPN-u, a Wujec — ex członkiem KOR-u. Przedstawiciele dwóch, nie przepadających za sobą, orientacji ideowych obok siebie Czyżby zapowiedź koalicji?

Po czwartym etapie listę zamykali: Romaszewski i Jaworski. Odpadli tacy pewniacy, jak Bugaj i Geremek. Delegaci w ten sposób wyrazili dezaprobatę dla ich pracy nad programem i koncepcjami dróg wyjścia z kryzysu. Totalna klęska poniosła grupę Niezgódzkiego. Ciekawa sytuacja wytworzyła się w regionie gdańskim. W ciągłym zwracaniu tkwili Lech Kaczyński i Bogdan Lis. Dopiero szósta runda przyniosła rozstrzygnięcie. Przed nią zapomniałem Kaczyńskiego, czemu delegatom tak ciężko się zdecydować.

— Przeciwno Lisowi jest blok pracy; zaszkodził sobie także sprawa papierosowa i przynależność do partii. Jeżeli chodzi o mnie, jestem niestrawny dla delegatów przez swoje powiązania z KOR-em i statutem inteligenta.

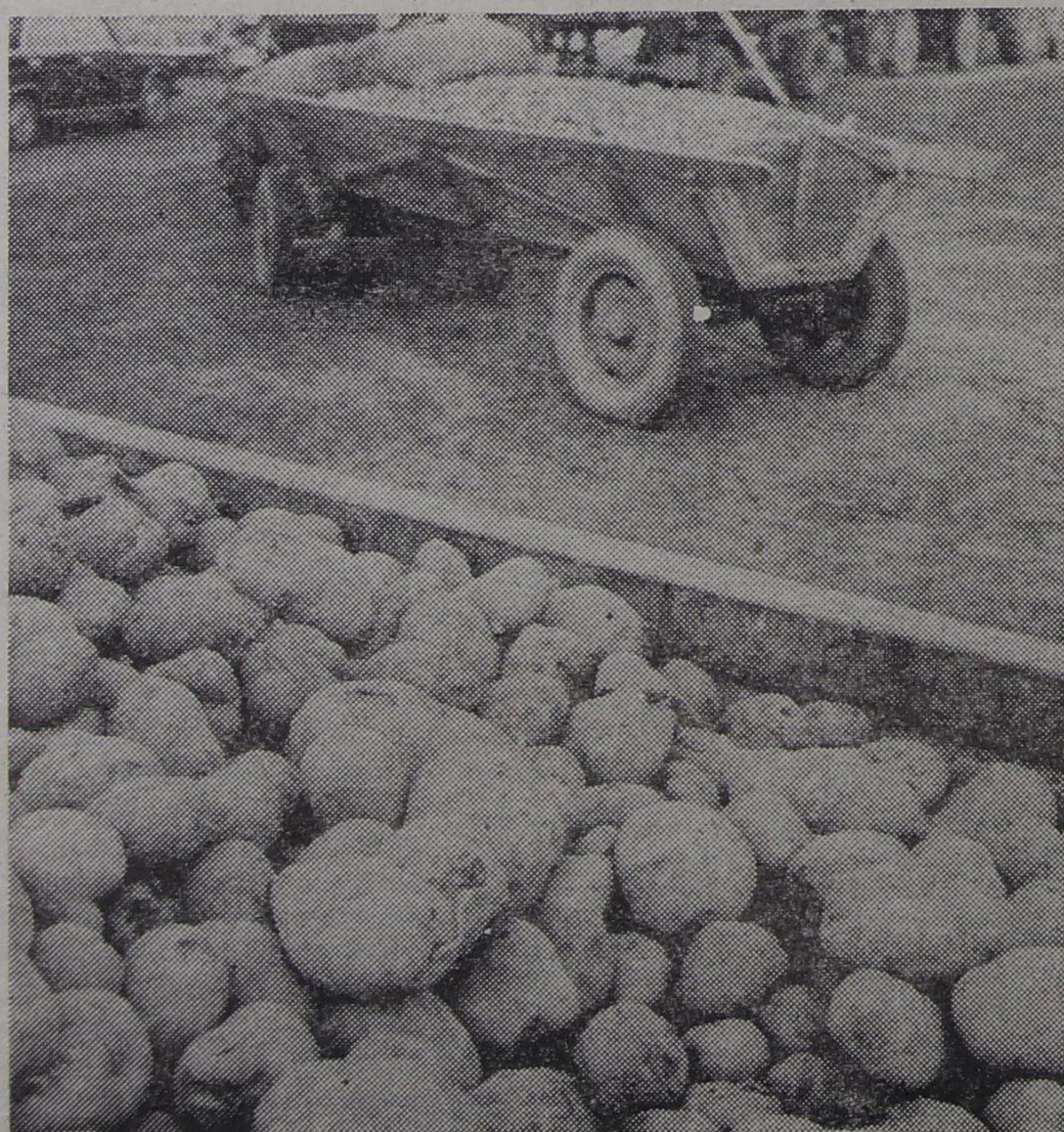
Lis wygrał, ale była to dla niego wspinaczka, a nie Zjazd.

ADAM JERZY SOCHA



ziemniaczana zaraza

zdjęcia Gabora Lörinczego



Na 69 tysiącach hektarów kampania ziemniaczana już się zakończyła. Gdziekolwiek jeszcze grzebie się kopaczka konna lub ciągnikowa, baba lub chłop kołyszą się nad motyką. Rolnicy w kilku gminach, m.in. w Goniądzu i Trzciannem, krzyk wielki podnieśli, że GS nie skupuje od nich ziemniaków, lecz gdy uświadomili sobie, że otrzymują za nie pieniądze bez pokrycia, jesienne plody sprzedają niechętnie. Zanim wejdzie w życie reforma gospodarstwa, niech sobie rolnik ziemniakami podkarmi świnki, które nawet w obecnych, specyficznych czasach i po nieoficjalnych kursach (towar za towar) mają swoją cenę. W „Paragrafie na byka” Władysław Tocki

wylczył, że tu i ówdzie jedna świnka kosztuje 200 tys., a więc tyle, co fiat. Nic przeto dziwnego, że zatrzymał się szeroki strumień dostaw ziemniaków do punktów skupu Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego (spłynęło zaledwie 85 proc. jesiennych dostaw). Nikt nie jest w stanie udzielić odpowiedzi na pytanie, czy plan przerobu będzie wykonany. Tymczasem — jak głoszą docierające do nas sygnały — ziemniaki gnią w kopcach i piwnicach, bo dotkliwie „spróbowała” je zaraza. Trudno taką postawę, która się wyraża słowami: sam nie zje i drugiemu nie da — uznać za wysoce obywatelską. (sz)



Sąsiadka, wyrwijąc zeschłe pęki pomidorów z przyblokowego ogródka, krzyczała: — Ja telewizję sprwadzę, do ministra napiszę, a nie popuszczę. Dziecka umyć nie można. Gazu nie ma. W lipcu przeprowadził remont wodociągów, a z czynszu do dziś za brak wody nie potrącił!

Woda w łomżyńskim osiedlu Jantar jest na wagę złota. Jej niedostatki, niezależnie od godziny i pory roku, aż nadto odczuł już wszyscy mieszkańcy. Właściwie z kranów najczęściej dobywa się buczenie lub syczenie. Lokatorzy bloków przy ulicach Staffa, Prusa i Żeromskiego wspominają ciepłą wodę jak piękny sen, który zdarza się kilka razy w roku. A i po zimną biegali i biegają z wiaderkiem do studzienki, odległej o trzysta metrów. Sytuacja jako żywo przywodzi na myśl chłopca, który ma w domu wc, ale za stołół chodząc nie przestął.

Czy są w Łomży jakiegokolwiek siły — socjalistyczne czy antysocjalistyczne, diabelskie czy anielskie — które byłyby zdolne usprawnić nowe wodociągi, nauczyć ich obsługę zasad eksploatacji, aby wiedziała, jakie kurki musi odkręcić do wody ciepłej i zimnej, a jak regulować ciśnienie, aby ów „żywiol” dotarł na piętra, nie mówiąc już o parterach?

Wojewódzka i Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa brak zimnej wody tłumaczy zagęszczeniem osiedla i przyłączeniem zwiększonej liczby bloków do jednego węzła, zaś niedobór ciepłej deficytem węgla i — wynikającymi stąd — oszczędnościami. Poczyszą swoich lokatorów: „Teraz jest jeszcze dobrze. Zobaczcie, co będzie zimą”. Szczególny to dowód troskliwości i operatywności instytucji, które przecież nie zrezygnowały z finansowych świadczeń mieszkańców. Prosta konsekwencja takiego jednostronnego przewracania umów może być zasada kopania prywatnych studzienek głębinowych pod oknami bloków.

W lecie Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa wielokrotnie zwracała

się do mieszkańców z prośbą o racjonalne używanie wody do przyblokowych ogródków. Apel uzasadniała obniżeniem ciśnienia wskutek zużycia nadmiernych ilości wody. Na rozlewiska wokół hydrantów (choćby przy budującym się przedszkolu przy ul. Prusa czy obok ul. Staffa), nikt nie zwracał uwagi. Jakby z nich płynęło zupełnie co innego.

Jeśli nie ma ciepłej wody, stawia się na kuchenkę gazową kociołek z zimną i podgrzewa. Wzrasta zużycie gazu, butla wystarcza zaledwie na dwa tygodnie. „Korgaz” nie nadąża z realizacją zamówień, a zdenerwowani mieszkańcy psoczą na cały świat: partię, „Solidarność”, socjalizm.

Przeświadczeni o niedowładzie organizacyjnym i totalnym bałaganie w osiedlu Jantar, nie mogłem uwierzyć w solidność wodociągów i instalacji ciepłej. I rzeczywiście: nowa rozdzielnia wody ciepłej, zimnej i centralnego ogrzewania w bazie osiedlowej Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, wprawdzie jeszcze oficjalnie przez generalnego wykonawcę — białostocki „Instal” — inwestorowi (Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej) nie przekaza-

zana, ale już od roku normalnie pracująca, stoi po kolana w wodzie. Szyby ma w oknach wybite, drzwi niby zamknięte na kłódkę, bo — w gruncie rzeczy — zamek jest zupełnie wyrwany z futryny. Wszędzie bałagan. Dookoła dziesiątki metrów sześciennych, zatopionej w wodzie, izolacji ciepłej. Urządzenia pracują, lecz ciepła woda, zamiast płynąć do bloków, wylewa się na posadzkę. Większego marnotrawstwa sił ludzkich, materiałów i energii dawno nie widziałem.

Pracownicy Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego czasami z zalanej rozdzielni wypompowują wodę, ale ta czynność nie zmienia sytuacji. Na próżno spalany jest węgiel, bo bloki nie otrzymują, wysyłanej do nich, wody. W czymże ta załoga, która zdobywa Sztandary Pracy, osiąga niskie koszty budowania?

Generalny wykonawca rozdzielni siedzi w białostockiej metropolii i widocznie z mniejszą Łomżą wcale nie musi się liczyć. Może stosować technikę klasycznego wandalizmu, bo i tak inwestor — Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa — rozdzielnię przyjmie. Przecież bloki do

sieci wodociągowej podłączyć musil! Zastępca dyrektora „Instalu”, Wiesław Mańko, stwierdził m.in.: — Proszę pana, ja zajmuję się eksportem, a krajowe roboty wcale mnie nie obchodzą. Pieczę nad nimi sprawuje Bogusław Ślusarczyk. Przekazę mu tę informację. Na trzeci dzień przedzwonił i wykpił się przyczynami obiektywnymi.

Zastępca dyrektora ds. produkcji Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, Wiesław Brzózko, całą winę składa na białostocki „Instal”: — Interweniowaliśmy u nich już trzy razy. Bez skutku.

Odpowiedzialnością obciąża też „Wodociągi”, Wojewódzki Zakład Energetyki Ciepłej, Wojewódzką Spółdzielnię Mieszkaniową.

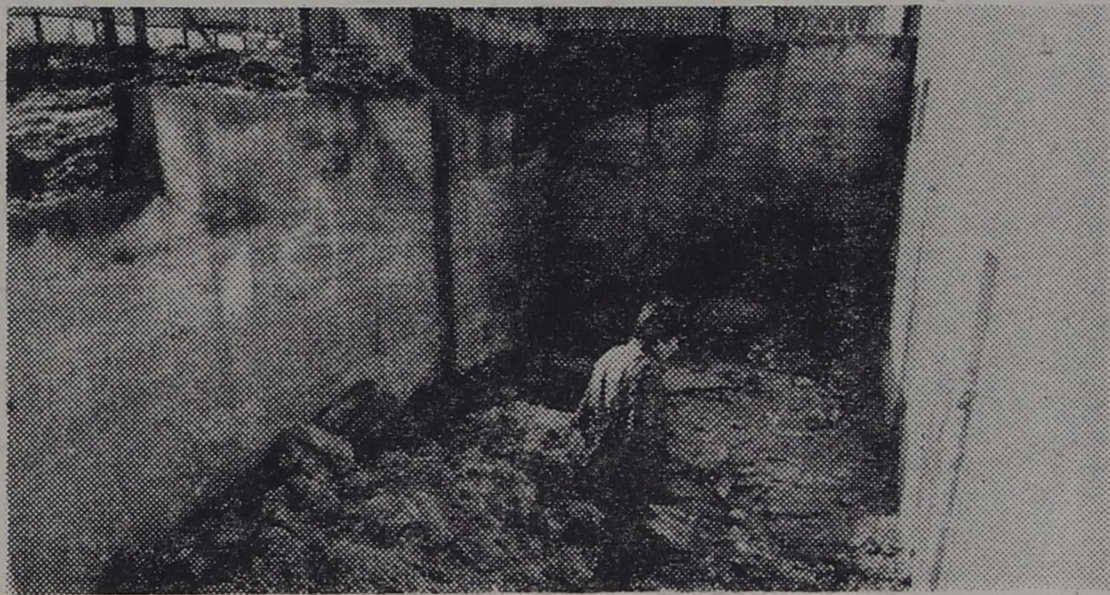
Kierownik Ludwik Kamiński z „Wodociągów” doradza mi sprowadzić Sanepid, bo on z tym bałaganem nie ma nic wspólnego, choć jest użytkownikiem tego obiektu. Odpowiada „tylko” za jakość i ilość wody, nie zaś za rozdzielnię.

— Czego pan chce? Dzwoni pan nie pod ten adres — próbował wyperswadować mi jakąkolwiek podejrliwość względem swojej odpowiedzialności.

Podobnie tłumaczył się Wojewódzki Zakład Energetyki Ciepłej, chociaż ma do rozdzielni jeden z kluczy; drugi — Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Obie instytucje jednakże zaprzeczyły posiadaniu przez siebie kluczy i wyparły się za rozdzielnię odpowiedzialności, jako obiekt oficjalnie nie przekazany.

Targi trwają, a mieszkańcy płacą czynsz i cierpliwie czekają na pojawienie się w kranach ciepłej i zimnej wody. Czy znajdzie się wreszcie jakiś organ władzy, który rozdzieli pomiędzy strony sporu — należne im za nieodpowiedzialność — „premie”?

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



PRZYJACIELSKIE POGWARKI

Alusiu kochana

Mija ostatnie wrześniowe, gorące popołudnie. Był to z pewnością piękny dzień, ale żadne letnio-jesiennie melancholie nie nachodzą mnie. Dominuje uczucie głodu i zmęczenia oraz beznadziejnej wściekłości, że żadnej z tych dolegliwości nie usunę. Nie udało mi się na przestrzeni trzech kilometrów kupić ani chleba, ani masła. Pozostań też brudna przez kilka godzin, bo nie ma wody. Ani kropki. A jednak jest refleksja: rok temu wicewojewoda Ciupa i jego świta specjalistów od wody obiecywała na lamach „Kontaktów”, że od listopada 80 woda będzie. Ponieważ jej nie było, nie ma i — co gorsze — nie będzie, mam zamiar rozpropagować na osiedlu mój pomysł społecznego kopania studzienek z żurawiem w przestrzeniach między blokami. Można do tego opracować system wciągania wiader z studni przez balkony. Mam już nazwę tego urządzenia. W zależności od wielkości: ciupki lub ciupinki. Powinno chwycić tak, jak przedwojenne sławojki. A za pomoc w rozwiązaniu tego trudnego tematu, pan wicewojewoda powinien wystąpić o nagrodzenie mnie odznaką „Zasłużona dla Ziemi Łomżyńskiej”. W końcu niektórym za mniejsze osiągnięcia się przypina.

Gdybym nie była tak słabej kondycji fizycznej, załatwiłabym definitywnie kilku innych naszych notabli. Ja rozumiem, że trudności, że kryzys, że nierytmiczność dostaw. Ale czy naprawdę nie można sensowniej „rzucić” towarów do sklepów, dostarczać artykuły proporcjonalnie: rano i po południu, żeby pracujący rano też mogli coś kupić? I dlaczego od godziny 15.00 nie obowiązuje tylko jedna kolejka dla wszystkich? Szanuję emerytów, wspieram inwalidów, rozumiem ciężką pracę, karmię i z dzieckiem na ręku, ale czy pracująca zawodowo 8 godzin kobieta i matka — nigdy nie może być równoprawnym obywatelem? Czy naszych mężczyzn w władzy nie

stać na taki wyraz uznania w stosunku do pracujących kobiet? Przecież sami by na tym skorzystali jako nie-emeryci, nie-inwalidzi. Gdyby zdarzało im się stać w kolejkach. Znowu mi się marzy równość w niedoli.

Piszesz, że u Was zaopatrzenie się poprawiło, a uprzywilejowani tracą po południu i w wolne soboty swoje uprawnia. Gdzie indziej też jest normalnie. Nie u nas.

W telewizji pokazywali serownię w pobliskich Mońkach — produkcja idzie. Jakiś wysoki urzędnik komentował, że globalnie twardych serów zrobiono w sierpniu więcej niż w analogicznym itd., tylko, że zbyt na nie okrutny. Ja jednak już co najmniej pół roku nie widziałam, żeby w Łomży zbywali jakiegokolwiek żółty ser. Może do Was trafia, a u nas po drodze zostawiają tylko dziurki?

Szukam w prasie jakichś kojących informacji. Mam! Skup mleka przekroczył zeszłoroczny poziom i jest to odbicie od dna. Ja, jako konsument sądzę jednak, że jest to raczej efekt coraz szerzej wprowadzanej u nas krzyżówki krowy z wodociągiem. Inna krzepiąca wieść: studenci na obozie naukowym przeprowadzili ćwiczenie-zabawę w strajk. Czyżby zapowiadało to zbliżenie programów studiów do realiów życia? Chętniej widziałabym jednak uczucie solidnej roboty i wpajanie zasad właściwej organizacji pracy.

Poza tym w prasie bez zmian: elementy, reformy, różne walki i oświadczenia, a więc odkładam gazetkę na pokazny stosik. Świadczy on głównie o moim marzycielskim stosunku do życia. Ciągłe bowiem częskanie z krztą nadziei, że któregoś dnia zapukają do mnie harcerze i zapytają o makulaturę, a ja będę mogła sprawić im radość. Pamiętasz, jak w dawnych, dobrych czasach, gdy nie brakowało papieru na zeszyty zbieraliśmy po domach makulaturę? Dziś jednak, choć dzieciaki nie mają na czym pisać, nie przyjdzie to nikomu do głowy. W naszej Chorągwi ZHP powiedziano mi, że we wrześniu harcerze się jeszcze nie zajmują, ale już na początku października urządzą bieg uliczny i będzie ich widać. Znowu coś na pokaz, a nie na efekt.

W podobnym, pokazowym stylu przebiega dyskusja o cenach. Latami nie można znaleźć dobrego relucza do ustalenia odpowiednich relacji. Gdyby minister Krasiński posłu-

chał rad wujka Władka, przestałby się głowić, obliczać na komputerach i w gremiach. Zapytałby po prostu kilku rolników-hodowców za ile chętnie sprzedaliby swinię, dobrego woła czy kwiatał zboża. A potem przyglądałby się np. za ile prywatny rzemieślnik sprzedaje poszczególne części, zanotował skrzętnie i ogłosił te ceny jako obowiązujące. Ale u nas inaczej: cenę strzela się z naukowej głowy, a potem minister jedździ po kraju patrzy, słucha i... książkę pisze. Ale smaku chleba tym nie poprawi.

Albo ten chwyt z pełnymi rekompensatami. Jaki to ma sens? Jedyne stymulowanie rozwoju produkcji papierów wartościowych.

Władza lubi jednak nas zaskakiwać. Szkoda, że tylko nieprzejmennie. Ostatnio pomysłem kwartalnych opłat za radio i telewizję. Niby godne pochwały usprawnienie organizacyjne. Tylko dlaczego mamy płacić za trzy miesiące z góry? W ciągu tak długiego czasu można po prostu przestać być abonentem. Może definitywnie wysłać telewizor lub abonent, a pieniążki przepadły. Teraz na osiedlu Jantar II program TV nie odbiera. Nie wiadomo, czy za miesiąc będzie jeszcze pierwszy. Byłoby to straszne, bo praktycznie telewizja to u nas jedyna rozrywkowa. Wielofunkcyjnej sali „Październik” zbyt często odpowiadać nie sposób, a kino „Milenium” od wielu lat w remoncie. Moim zdaniem prokurator powinien się wreszcie zainteresować, co tam ci budowlańcy dobrowolnie odsiadują. Coś mi się jednak zdaje, że Prokuraturę ostatnio bardziej interesują plakaty niż filmy. A propos, mam zamiar wysłać do nich donos na Wojewódzką Spółdzielnię Pracy, która bezczelnie reklamuje w witrynie „Usługi damsko-męskie”, za co można zrobić do dziesięciu lat z art. 174 § 2. Chociaż przy Placu Żeglarskiego, dwa kroki od Rejonowej, nikt tego nie zauważył. W ogóle w ostatnim czasie ta szacowna instytucja zachowuje się jakoś dziwnie. Prokuratura Wojewódzka zaapelowała do Rządu PRL, aby skutecznie zajął się ładem i porządkiem publicznym. Tylko patrzeć, jak ich śladem pójdą rolnicy i zażądają od władz, by zintensyfikowały hodowlę świń, a górnicy zaczęli naciśkać Jaruzelskiego o zwiększenie wydobycia węgla. Czyżby wymiar sprawiedliwości czekał ze spełnieniem swych obowiązków do wyraż-

nego zezwolenia władz? Co tradycja, to tradycja, choćby niechlubna.

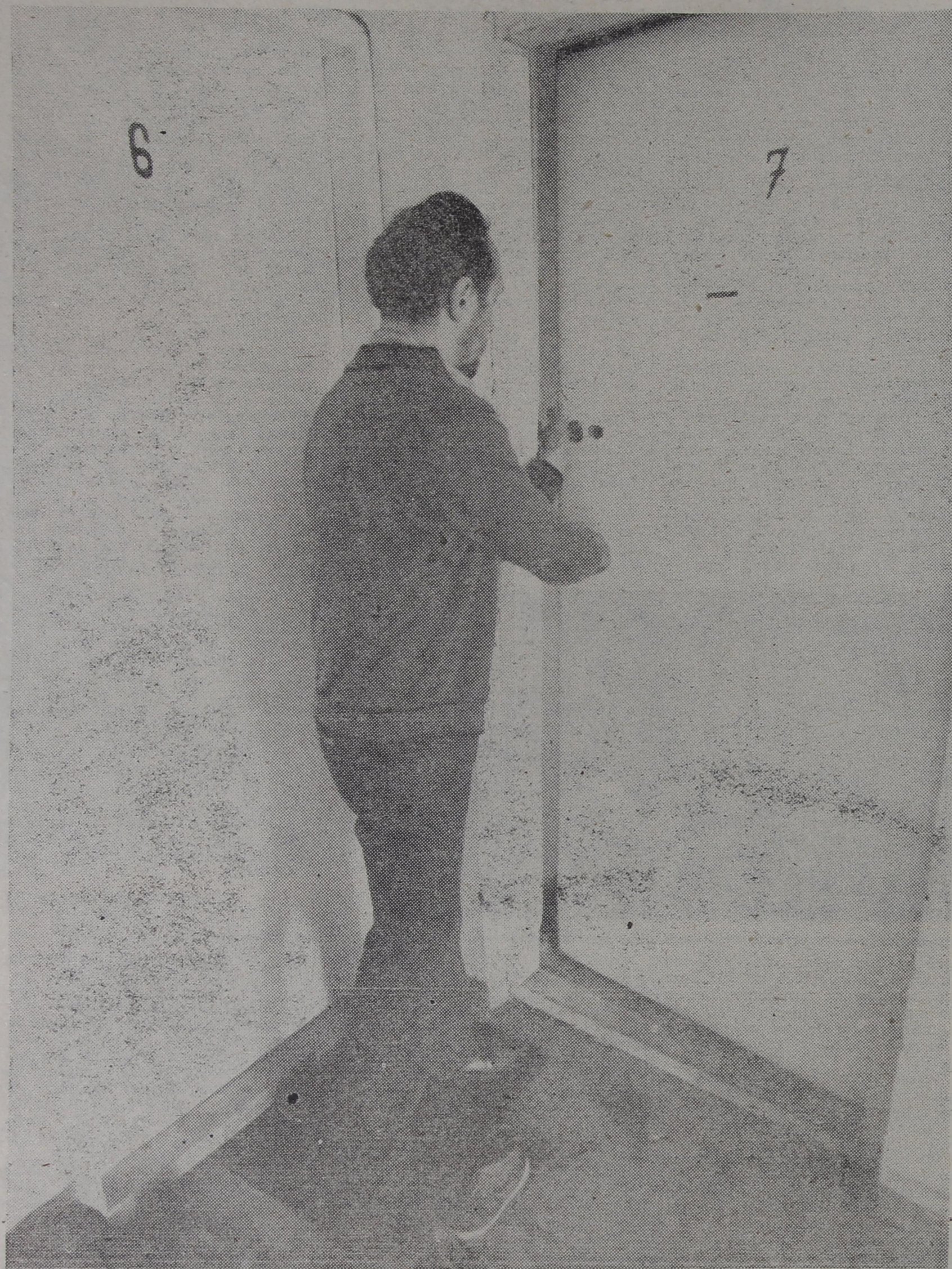
U Was tymczasem nowe obyczaje. Prawie fantastycznie brzmi Twoja relacja o niefortunnym pobiciu wiceprzewodniczącego „Solidarności”. Żeby 36-letni rencista natrząskał mu tylko za to, że chrząknął na ulicy! Trudno wprost uwierzyć w taką nerwowość. W autobusach ludzie powinni się regularnie mordować za szturchania, chrząkanie, odciśki.

Przejdźmy jednak od wielkich spraw do drobnych płoceczek. Wpadł do mnie niedawno Zdzisław. Strasznie był podenerwowany życiową niewiedzą własnej żony. Kilka dni temu spotkał przypadkowo kumpla z wojska. Skoczyli do „Bony” na parę piw. Żona rozliczyła go detalicznie: po 5,50 za butelkę. Nie przyjmowała do wiadomości, że on bułił po 46. Wymachiwała przy tym gazetą ze słusznym hasłem: „Nie wolno popierać spekulantów, którzy rujnują budżety rodzinne!” Na nie zdały się tłumaczenia, że goniąc Zachód prześcignęliśmy ich na niektórych odcinkach o cały dystans. 800 procent marży w przeciętnej kafejce. Taki luksus jest u nas łatwo dostępny dla szarego obywatela, a tam — jedynie dla nielicznych wybrańców. Żona Zdzisława upierała się, że może przesiadywać raczej w „Stokrotce”, gdzie chyba taniej. Nie mogła uwierzyć w jego tłumaczenie (na trzeźwo), że tam do każdego piwa obowiązuje jedno ciastko za 8 zł sztuka. A Zdzisław biorąc młodości od samego patrzenia na tortowe obok kufla. Ja go rozumiem. Interesuje mnie też, co kelnerki robią potem z tą stertą pozostawionych ciastek. Może sprzedają na okrągło te same (tzw. ciastka rotacyjne) bez obaw zatrucia klientów. Ale zawsze jest ryzyko nieszczęśliwego wypadku, gdy klient ulula się tak, że nie wie, co czyni. Byłaby znowu afera na skalę Łomży. Z serii tych do ujawnienia. Bardziej pasjonujące są te, które nigdy nie ujrzą światła dziennego, choć o nich głośno. Napiszę ci o tym, gdy niektórzy żądni informacji przestaną „przetrzykiwać” moje listy. Trzeba chyba z tym poczekać do nasycenia rynku dużą ilością dobrej prasy. Nie tak szybko więc. Ale zawsze znajdzie się coś ciekawego z legalnych tematów. Do następnego listu.

Twoja

KAROLINA





być i będzie rozwiązana. Za chwilę powinien pojawić się przedstawiciel KW.

Uwierzyli. Po godzinnej okupacji budynek opustoszał. Większość czekała na człowieka z województwa. Jego przybycie jednak tylko zaogniło sytuację.

— Niech pan coś powie ludzie czekają. To już nie żarty — Władysław Pardo zdawał sobie sprawę, że finał może być naprawdę dramatyczny. Gość uśmiechnął się tylko bezradnie, a w czekających znowu się zagotowało.

— Po cholere tu taki, co nic nie może. Niech z Łomży przyjedzie sekretarz!

W tym czasie w domu nauczyciela zebrała się — na nadzwyczajnym posiedzeniu — Rada Zakładowa i przybyli wszyscy miejscowi członkowie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po kilku minutach przewodnicząca, mgr Lidia Sokołowska, przyłożyła pod — na prędce spisany — protokołem pieczęć związkową: „Członkowie ZNP przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Turośli podejmują Uchwałę o organizacji legalnego strajku związkowego nauczycieli i pracowników administra-

cyjnych i wysuwają następujące postulaty:

1. Natychmiastowe opuszczenie mieszkania w Domu Nauczyciela przez Ob. Z. Ustach i oddanie go do użytku rodzinie nauczycielskiej K. J. Sapińskim.

2. W związku z niemoralną postawą Ob. Z. Ustach (zniekształcenie nauczycieli, liczne groźby pod ich adresem, posądzenie o kradzież 2 tys. dolarów) żądamy ukarania Ob. przez komisję kontroli partyjnej łącznie z wydaleniem z szeregów PZPR.

3. Żądamy natychmiastowego spotkania z kuratorem oświaty i wychowania w Łomży, I sekretarzem KW PZPR i prezesem Zarządu Oddziału ZNP.

4. Za okres strajku żądamy pełnego wynagrodzenia jak za normalne dni pracy.

Informujemy, że strajk będzie trwał do chwili zrealizowania ww. postulatów z możliwością rozszerzenia go na teren całej gminy.

W tej sytuacji przedstawiciel z województwa ponownie połączył się z KW, odczytał dostarczoną uchwałę nauczycieli. Po godzinie w Turośli był już Antoni Drozdowski,

kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW, wicekurator Józef Krasowski, prezes Zarządu Okręgu ZNP, Mirosław Moraczewski. Weszli do kuchni, w której zamknęła się Zofia Ustach. Po dwóch, trzech minutach rozmowy połączyli się z naczelnikiem.

— Proszę postarać się o ciągnik, przyczepę i kilku ludzi. Trzeba pomóc towarzysze Ustach w wyprawadze.

Napięcie spadło. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić do domów. W chwilę później podjechał traktor. Trzech — ściągniętych przez naczelnika — mężczyzn załadowało dobytek byłej sekretarz na przyczepę. O na sama wsiadła do czerwonej łady i wolno ruszyła za swoim dobytkiem. Stojący na podwórku ludzie milczeli. Jedynie niski mężczyzna w dreluchu syknął cicho za odjeżdżającymi: — Barachło! — I splunął.

Ten dzień zaczął się w domu nauczyciela w Turośli jak stary kryminał. Z łomem i siekierą w roli głównej. Łomem wybito dziurę w drzwiach, siekiera została użyta do rozwalenia zamka. Do mieszkania, od trzech dni zajmowanego przez Kingę i Józefa Sapińskich, nauczycieli z pobliskiej szkoły podstawowej, weszła była sekretarz z braćmi i szwagrem. Po ostrej wymianie zdań włamywacze zeszli do piwnicy, łomem otworzyli drugie drzwi i zaczęli pod „siódmkę” wnosić meble. Zaalarmowany przez gospodarzy komendant posterunku MO pojawił się natychmiast.

— Jeśli dojdzie do rękoczynów — ostrzegł „gości” — to mam dla was odpowiednie lokum.

I wyszedł Zofia Ustach wdarła się bowiem z braćmi do własnego mieszkania. Z piwnicy zaczęła znosić własne meble. Zgodnie zaś z prawem — do własnego mieszkania można wywozić drzwi choćby codziennie. Zastanowić to może co najwyżej psychiatrę, nie stróża porządku i prawa. Zeby więc całkowicie wyjaśnić motywy postępowania komendanta, należy dodać, iż o pomoc prosili go właśnie ci, którzy sami wcześniej, wspólnie z sąsiadami, włamali się do kawalerki byłej sekretarz, zamieszkali w niej, zmienili zamki, i w ten sposób zmusili Zofię Ustach do... włamania się do własnego locum.

Kapitałniejszego momentu, w którym „nikt nic nie wie”, można dopatrzyć się tylko w najporządniejszym kryminale.

Zofia Ustach przybyła do Turośli w styczniu 1976 roku. I od razu zraziła do siebie ludzi. W tym roku oddano do użytku pierwszy, jedyny zarazem, dom nauczyciela. Z góry wiadomo było, iż mieszkań będzie mniej niż chętnych. Aby więc uniknąć niepotrzebnych spieków, powołano do rozdziału specjalną komisję. Z komisyjnym ustaleniem udał się dyrektor szkoły, Jan Wołczyński, do naczelnika i sekretarza KG PZPR Naczelnik wyciągnął długopis: — Sami sobie podzieliście, wasza sprawa — orzekł i, nie czytając nawet, podpisał Sekretarz Zofia Ustach również wyciągnęła długopis, ale tylko dla uczynienia nim gestu.

— To dla mnie żaden dokument — powiedziała. — Towarzysz Szablak musi dostać mieszkanie rodzinne! Kozłowski tu Szablak, tu — machnęła pisakiem.

Dla siebie zażądała mieszkania od ulicy: — Muszę mieć oko na całą Turośl!

— Od tych spraw są odpowiedni ludzie — przyciął ktoś w odpowiedzi.

Przedstawiciele komisji pojechali do kuratorium. Argumentowali: Kozłowski, oboje nauczyciele, mają dwoje małych dzieci. Szablak to prezes geesu, nauczycielką jest tylko jego żona; mają jedno dziecko. Okazało się jednak, że decyzji Zofii Ustach nie było w stanie ruszyć nawet kuratorium. Do dzisiaj.

W tym czasie Kinga i Józef Sapińscy mieszkali w Cieloszkach, w wynajętym, prywatnym domu. Do szkoły — dwa kilometry w jedną stronę — docierać mogli jedynie na własnych nogach. W styczniu 1979 roku przenieśli się do Turośli. Wynajęli zagrzybioną, przegniłą izbę w domku Władysławy Trynieszewskiej: dwanaście metrów kwadratowych. Kiedy więc sekretarz Zofię Ustach skierowano w październiku na dzienne, stacjonarne studia do Warszawy, nauczyciele Zbiorczej Szkoły Gminnej wystąpili o przekazanie — praktycznie pustej — kawalerki właśnie Sapińskim. Sprawę poparła szkolna POP, Rada Zakładowa, ZNP, Komitet Gminny. W marcu br. sekretariat KW przekazał Komitetowi Gminnemu w Turośli pierwszy termin, do którego studentka Zofia Ustach zwołni mieszkanie w domu nauczyciela. Gdy wyznaczony dzień minął, POP wystosowała stanowcze pismo do KW domagając się szybkiej interwencji. Jednocześnie do Zofii Ustach udał się Józef Sapiński z prośbą o zrozumienie ich ciężkiej sytuacji.

— Jeśli będziesz grzeczny i skończysz z pisanem skarg, to może po skończeniu studiów sama wręczę ci klucze — usłyszał. — Na razie mam jeszcze dość przyjaciół i gdzieś twoje pisanie.

Sekretarz Zygmunt Skrodzki ponownie poinformował więc KW o postawie Zofii Ustach. Otrzymał odpowiedź, iż do dziesiątego września sprawa zostanie definitywnie, i po myśli nauczycieli, załatwiona: Zofia Ustach obiecała się wyprowadzić.

Tymczasem po dziesiątym września była sekretarz zmienia decyzję. W Turośli temperatura nastrojów urosła. Napięta sytuacja zaostriła się gwałtownie siedemnastego września, kiedy — pod nieobecność Sa-



pińskich — spłonął dom, w którym mieszkali i trzymali cały swój życiowy dobytek. Jeszcze tego samego dnia sekretarz Skrodzki i naczelnik pojechali do Zofii Ustach, która — mimo wakacji — nie mieszkała w Turośli, z prośbą o ustępstwo w obliczu tragedii.

— Nic mnie to nie obchodzi — odpowiedziała.

Następnego dnia, w piątek, z podobną prośbą przyjechał do niej Aleksander Waszczuk, kierownik Wydziału Ogólnego. Zofia Ustach zaczęła się jednak: — Mieszkania nie opuszczę.

Teraz wypadki potoczyły się już szybko. W sobotę, dziewiętnastego września, nauczyciele utworzyli ośmioosobową komisję, włamali się do pustego mieszkania Zofii Ustach, sporządzili szczegółowy protokół i komisyjnie przenieśli jej rzeczy do piwnicy. Klucze do opróżnionego mieszkania przekazali Sapińskim. Poprzednia lokatorka mieszkania pojawiła się w Turośli dopiero w poniedziałek. Zażądała natychmiastowego opuszczenia kawalerki. Groziła zwolnieniem z pracy. Jednocześnie złożyła meldunek, iż skradziono jej — przechowywane w domu — dwa tysiące dolarów. Sapińscy, mając powszechne poparcie, z mieszkania nie wyszli. We wtorek rano Zofia Ustach pojawiła się tam z brzoiami, łomem i siekierą.

Ten dom wznosiłam wprost na własnych barkach. Proszę, przecież mam decyzję o przydziale tej klitki i nikt jej dotąd nie cofnął. Żadna siła nie zmusiłaby mnie do odejścia. Gdy przyjechali towarzysze Drozdowski, kurator i prezes ZNP, sama zdecydowałam się wyjechać. Sama! Niech pan przynajmniej to napisze. A mogłam powiedzieć: nie! Nikt mnie stąd jeszcze nie eksmitował.

— Jak może człowiek żyć i mieszkać tam, gdzie wszyscy wokół go nienawidzą?

— Nikt nie jest mi tu potrzebny. Zawsze radziłam sobie sama.

— Skierowano panią na studia; otrzymała pani miejsce w domu studenckim, pełne wynagrodzenie. Pro-

ponowano trzy pomieszczenia zastępcze. Kinga Sapińska studiuje również, ale musi pracować i ma niższą pensję od pani, studentki! Wychowuje dwoje dzieci. A teraz nie miała się z nimi gdzie podzić. Straciła wszystko.

— Propozycje mieszkaniowe KW były nie do przyjęcia. Na własną rękę też nie udało mi się nic znaleźć. A takich nieszczęść jest mnóstwo. Dlaczego ja właśnie mam być filantropem?

— Nie czuje się pani ani trochę za wszystko odpowiedzialna?

— Prawnie absolutnie. No, może moralnie. Ale w końcu to oni włamali się do mojego mieszkania. Ważyli się! Pewnie tylko dlatego, że taka jest teraz sytuacja polityczna w kraju.

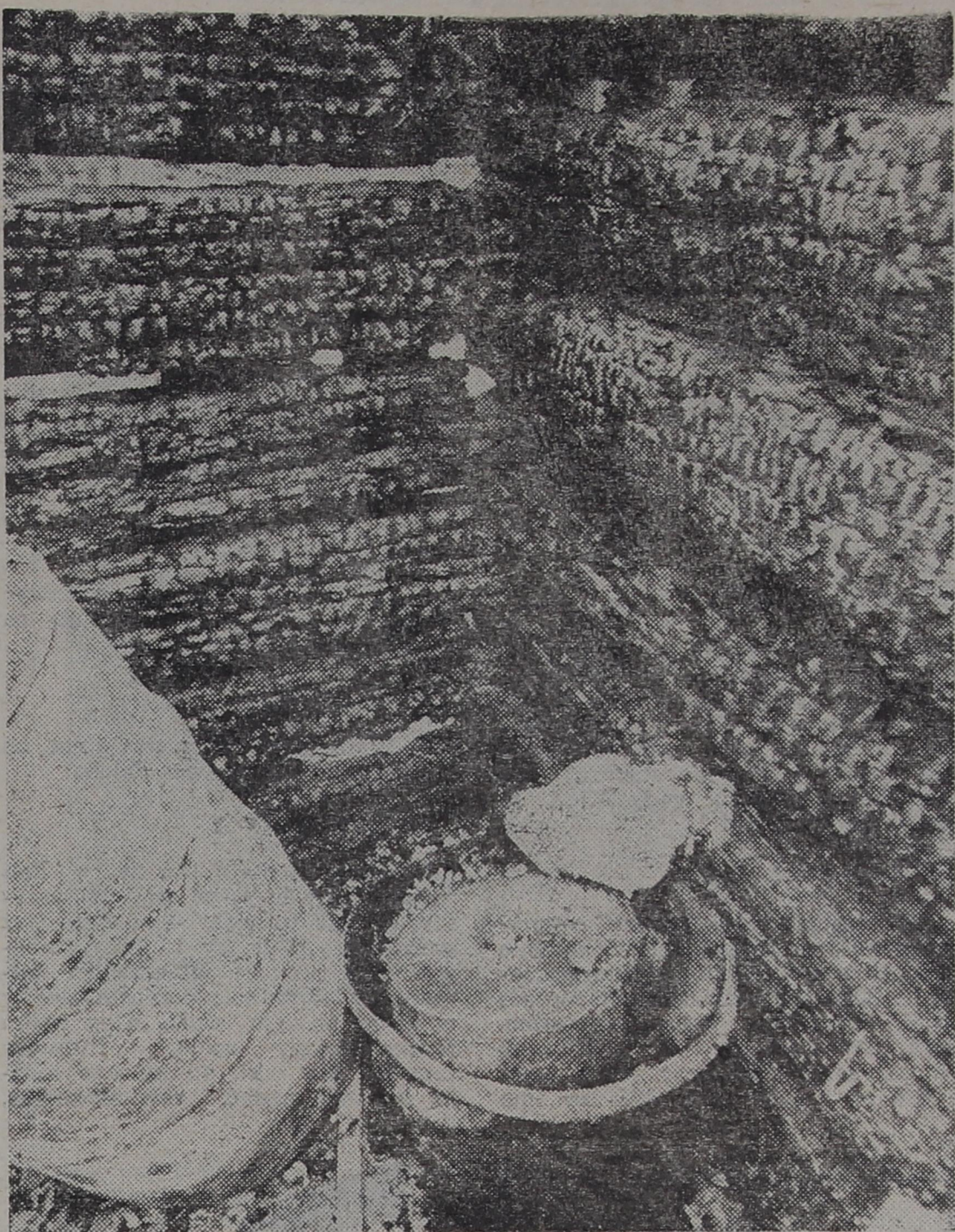
Rozmawialiśmy prawie półtorej godziny. W tym czasie „ludzie naczelnika” znosili sprzęty byłej sekretarza na przyczepę, pod osobistym nadzorem głowy gminy i przy wtórze pokrzykiwań rodziny wyprowadzonej.

W Turośli zastanawiają się teraz, jak można było powierzyć funkcję sekretarza Komitetu Gminnego człowiekowi o niespełna rocznym stażu partyjnym. Bo mieszkańcy gminy sami sobie Zofii Ustach nie wybierali. Pytają też, za co i od kogo otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi po dwóch następnych latach. I doszukują się analogii nagradzania: sekretarz Zofia Ustach, jako przewodnicząca GRN-u, wystąpiła bez wiedzy egzekutywy, a potem bez jej zgody, o Brązowy Krzyż Zasługi dla kierowniczk baru; chyba za... gratisowe obiady, bo nikt, przy najlepszych chęciach, nie może się doszukać innej motywacji. A jednak kierowniczka odznaczenie otrzymała. Ciekawi ich, jaka jest atmosfera w partyjnej Wyższej Szkole Nauk Społecznych, jeżeli Zofia Ustach, po roku odnowy, jest pewna, że może tu wrócić. Jako... sekretarz. Bo cóż tam dla niej wybory!

— Człowieka, którego jedynym argumentem było walenie pięścią w stół, można się bać, ale nikt go nie będzie szanował. Pani Ustach innego sposobu na autorytet nie знаła — skrótowo przebiega trzyletnia kariere byłej sekretarza w Turośli nauczycielka, Halina Walewska.

— Rezydencje się skończyły — Władysław Pardo ocenia raczej te-
rażniejszość — Nawet takie, jak w naszym domu nauczyciela, dwadzie-
ci siedem metrów kwadratowych.

Fot. GABOR LÖRINCZY



spiećcia



9
KONTAKTY
25.X.1981

Zarząd Gminnej Spółdzielni w Miastkowie najbardziej kocha Nowogród, a w nim sklep GS-u skąd wykupił wszystkie butle gazowe, zanim trafiły do sprzedaży. Transakcji dokonano przy drzwiach zamkniętych, stosownie do wagi przedsięwzięcia. W trosce o dalsze losy nabywców, przypominamy o konieczności dokładnego sprawdzenia szczelności butli i drzwi sklepu, przez które ulotnił się smród związany z tym zakupem.

*

Kwitnie deficytowa działalność Spółdzielni Kółek Rolniczych w Rutkach. Jeszcze dwa lata temu straty wynosiły 200 tys. złotych, dziś sięgają kilku milionów. Tamtejszy Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych znalazł na to jedyną radę: podwyższenie opłat za usługi mechanizacyjne. Ciekawe, czy zmieni także cenę podróży po zielonej trawce.

*

Nową formę sprzedaży wprowadziły ekspedientki z salonu obuwniczego przy ulicy Buczka w Łomży: buty wciskają klientom przez otworki w okratowanych drzwiach, by — broń Boże — nie stanąć z nimi twarzą w twarz. Że jest to darmowy ogród zoologiczny — nie wątpimy. Ale po której stronie kraty?

*

Obuwniczy deficyt próbowano też rozwiązać w sklepie przy ulicy Bernatowicza. Ciżba klientów postawiła wybić okno na świat łomżyńskim handlowcom. Stłuczono witrynę, lecz wobec skromnej ilości towarów wewnątrz ambitny zamiar doznał porażki. Przezorni — jeszcze tego dnia — rozpoczęli na tajnych kompletach lekturę książki „Boso, ale w ostrogach”.

*

Jan Dworakowski z Jabłonowa Wypychy (gmina Sokoły), po bezskutecznych interwencjach w Urzędzie Gminy, zasypał przepust wody przez drogę, bo mu zalewała łąkę. Desperacki czyn petenta zalał z kolei pastwisko sąsiada, więc gmina ka-
zała Dworakowskiemu przepust odbudować, za warcholstwo ustanowiono karę: puścić przepust środkiem łąki desperata, a nie rowem do pobliskiej rzeczki, jak chciał tego Dworakowski. Rolnik zaprotestował, więc gmina sprawę odesłała do Urzędu Wojewódzkiego, szukając tam sprzymierzeńców dla obrony swego autorytetu. Uważamy, że słusznie zrobiła, bo sama głupoty nie obroni.

*

Międzyzakładowa przychodnia przemysłowa przy ŁZPB „Narew” zabrawszy się do jesiennych remanentów odkryła u siebie skład ze szczepionką przeciwtyfzową i postanowiła szybko ją upłynnić. Szpikuje teżcove bakcyle wszystkim jak leci, nawet byłym pracownikom zakładu, pod groźbą, że „winni niestawienia się pociągnięci będą do odpowiedzialności karno-administracyjnej”. Strach pomyśleć co będzie, jeżeli inwentaryzacja odkryje także zapas zastrzyków przeciw wściek-
liźnie. Z nadgorliwością medycy mogą również zacząć od siebie

*

Przez dwanaście miesięcy przyjmował redakcyjne telefony mieszkaniec Łomży, którego numer aparatu choćliki drukarski wpisał do stopki redakcyjnej „Kontaktów”. Ujawnił to niedawno znajomy poszkodowanego. Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego nie dotarło do nas wiele odpowiedzi na „Spiećciowe” alarmy, kierowane pod adresem prze-
bogatej galerii osób i instytucji.



W kolejce

Dziedziną wiedzy, która tak naprawdę rozwinęła się w ostatnich kilkudziesięciu latach, jest etologia. To nauka o zachowaniu się zwierząt, ale nie tylko. Wiele naszych, ludzkich zachowań rozumie się dopiero wtedy, gdy zbada się i przeanalizuje analogie w świecie zwierząt. Przy okazji rozwalają się mity i wydumane, nie oparte na faktach, koncepcje. Tak na przykład jest, jeśli idzie o stosunek do własności: sądono (i to nie tylko Marks), że pojęcie własności rozwinęło się dopiero z czasem w ludzkim społeczeństwie. Etologia stwierdziła, że tak nie jest. Samiec antylopy gnu dopiero wtedy może liczyć na powodzenie w miłości, kiedy dysponuje własnym terytorium, a podobnie jest w bardzo wielu przypadkach. Zatem pojęcie własności jest starsze nie tylko od domniemanej „wspólnoty pierwotnej”, ale w ogóle od człowieczeństwa.

Etologia obserwuje też ze zdumieniem, jak bardzo zmienia się zachowanie zwierząt pozbawionych wolności i przestrzeni, stłoczonych w niewielkiej klatce. Narasta wtedy lawinowo agresja, rodzą się rozliczne zbrocenia, wzrasta seksualizm itd. Może najwspółczesniejsze badania profesora Sediaka, dotyczące otaczającego każdego z nas — biopola, wniosłyby tu coś jeszcze: jak się zmagają, napinają, pomnażają biopola ludzi złych na siebie, na cały świat, stłoczonych, stojących godzinami w kolejce. Chcąc czy nie chcąc — podlegamy prawom biologii, chociaż nic o nich nie musimy wiedzieć. I daremne jest wtedy odwoływanie się do siły charakteru, daremne apelowanie o to lub owo. Wylazi z nas bestia, choćbyśmy się tego nie wzięli jak wstydzi. No, pewnie, kto się naprawdę wstydzi takich zachowań, temu się zapewne uda ograniczyć przynajmniej niektóre wybryki. Niemilosierne rozpleniłone chamstwo na pewno nie jest konieczne.

Ale jak tu dojść do ugody, jeśli na dziesięciu przypada jedna kostka masła? Człowiek samotny może ostatecznie z tego masła zrezygnować, ale czy wolno rezygnować matce, która nie bardzo ma czym nakarmić dziecko? I już bój na noże, i nawet nie można nikogo skarżyć, bo nikt nie jest winien. Ludzie są o tyle dobrzy, o ile warunki im na to pozwalają. Oczywiście, nawet w najczarniejszym Oświęcimiu może się znaleźć człowiek pokroju Kolbego, ale na to trzeba heroizmu i świętości. Człowiek jednak stara się najczarniejsze konieczności poddać jakimś rytuałowi, żeby ograniczyć wzajemną agresję. (A i zwierzęta mają swoje, bardzo ważne, rytuały). Takim rytuałem i sposobem organizacji społecznej jest naturalnie kolejka. Obserwujemy, jak z biegiem czasu wykształcają się w niej normy, zwyczaje, obrządki. Kolejka nie jest najwspanialszym miejscem świata. Nienawidzi emerytów, inwalidów i kobiet ciężarnych. Zlikwidowała priorytety dla starców, jakże jednak nie miała ograniczyć priorytetów, skoro z drugiej strony gromadzi się z reguły kolejka uprzywilejowanych? Przepuszczenie ich wszystkich równałoby się niedostaniu niczego.

A więc uprzywilejowanych ustawia się jako co piątą osobę kolejki „normalnej”. W takim układzie sens przywileju zacierza się szybko. A ileż jeszcze rodzi się innych obyczajów, jeśli w kolejce trzeba stać po parę dni. No i tworzą się wszelakie komitety społeczne, listy, czasem przez sprzedawców honorowane, a czasem nie. Smętny zysk z tego taki, że wszyscy staliśmy się po części etologami, prowadzącymi badania nad własnym zachowaniem. Ale wnioski nie są zbyt radosne ni różowe. Widocznie jednak istnieją prawdy, których lepiej jednak nie znać zbyt szczegółowo. A jeśli już nie poznać najszybciej zapomnieć. Ale kiedy, na Boga, będziemy się mogli wziąć za to, zapomnianie?

PIOTR KUNCEWICZ

Był czas, kiedy w kraju naszym panował głupi, zły, okrutny reżim. (No z tym reżimem to bez przesady, ale założmy).

Mówiła pewnego razu jedna pani drugiej pani przy herbatce: — Wie pani, co się dzieje? Złodziejstwo, kochaniutka, gdzie nie spojrzysz. Złodziej na złodzieju siedzi i złodziejem pogania. I dyrektor, i jego sekretarki, i cała ta władza. Zamknąć by ich wszystkich do jednej ciupy i byłby porządek. I miała rację.

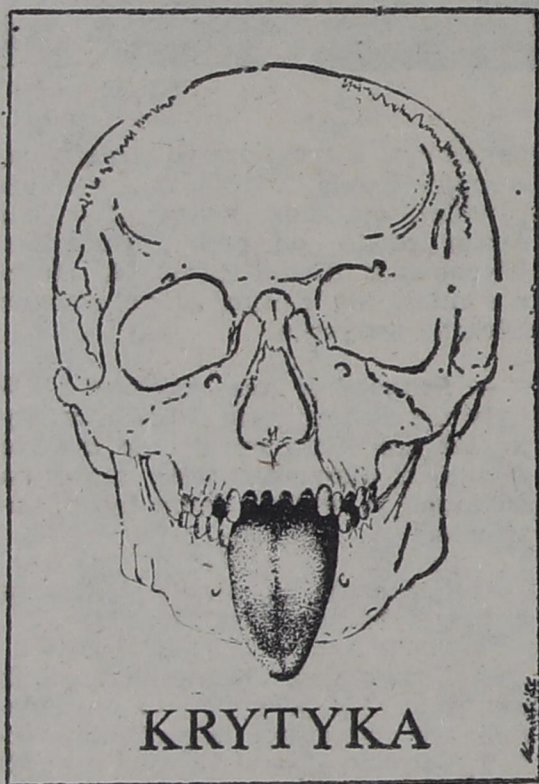
Mówił pan do drugiego pana przy głębszym w barze: — Panie, dzisiaj jak nie dasz w łapę, to nie załatwisz ni u wójta, ni u ministra. Od góry do dołu. Rozpędziłbym to wszystko w try miga.

I też miał rację.

Mówił dyrektor do innego dyrektora przy koniaku na bankiecie: — Bałagan, kolego, jakiego świat nie widział. Krzyczą ciągle: plan wykonuj! A jak go wykonasz, jak ci tu nie starcza i tam nie starcza? To brak ludzi, to gaz, wody. Kiedy to wszystko szlag trafi?

I chyba miał rację.

„Władza ma rację zawsze” — mówi popularne przysłowie. Wiadomo jednak, o co chodzi w tym porzekadle. O to, że władza nigdy nie ma racji. Przysłowie jest przewrotne. Jest drwiną z władzy, która by chciała serio traktować swoje racje i drwiną z tych racji. Władza ma



siłę, ale nie ma i nie może mieć racji, bo ta jest kwestią moralną, a nie kwestią siły.

Rację natomiast ma zawsze zbuntowany, krytykujący władzę. W ogóle w reżimie rację mają ci, co narzekają. Toteż wszyscy mieli rację: kierowcy narzekający na pasażerów i pasażerowie — na kierowców; pacjenci na lekarzy, lekarze na pacjentów; piesni na samochodziarzy i kierowcy na pieszych. Wszyscy — narzekają na łapówki i wszyscy dają łapówki. A nade wszystko — wszyscy narzekając na rząd, który, jak to rząd, wszystkiemu jest winien.

Stało się jednak... Reżim przestał być złym, okrutnym i w ogóle chyba przestał być reżimem. Wszystkimi szczelinami wylała się na powierzchnię prawda o złodziejstwach, malwersacjach, daczach, przydzielach na samochody, kontaktach zagrańicznych, polowaniach w puszczy, bankietach i przyjęciach za państwowe pieniądze. Od roku z górą w narodowej kuchni kipi bez przerwy, bulgoce zgorzkniała narodowa prawda. Nadmiar prawdy nie ma czasu ani siły słuchać wszystkiego ni czytać. Nie podnieca już, nawet to i nie wnerwia tak, jak wnerwiać powinno. Prawda jednak, tak powszechna i wszystkim znana, przestaje być właściwie prawdą. Nie ma sensu wykrzykiwać: „Powiem wam całą prawdę: słońce wschodzi rano i zachodzi wieczorem”. Natomiast jest sens szepnąć komuś do ucha: „Nie wolno o tym mówić, ale powiem ci całą prawdę, wojewoda Iksiński to skurwysyn, on...”. Prawda, tak jak i racja, jest o tyle prawdą, o ile jest represjonowana. Prawda panująca, która jest górą jest albo fałszem albo banałem. Prawdy i ra-

cje są ideologią ekscytującą i mobilizującą przeciwko panującej przemocy i nieprawdy. Niewiele jest dziś takich prawd. Może prawda o naszych wielkich i silnych sojusznikach? Przypomina to jednak zabawę dzieci przed klatką lwa. Wsadzić palec i postraszyć. Brrr! Nie należy dzieciom zezwalać na takie zabawy. Ale niech tam, wróćmy do naszych spraw.

Tu i ówdzie słyszę rozmowy:

— Górnicy nie chcą pracować w wolne soboty, pomimo wysokich stawek zarobkowych, bo twierdzą, że powinni otrzymywać takie zarobki za pięć dni pracy, żeby nie trzeba było pracować w sobotę.

I mają rację

— Rolnicy nie chcą sprzedawać mięsa, bo mówią, że i tak nie za te pieniądze kupić nie mogą.

I mają rację.

— Włóknarki grożą strajkiem, bo w sklepach brak nawet chleba.

Mają świętą rację.

Wszyscy ją mają i wszyscy dziś mówią prawdę (albo prawie wszyscy, prawie prawdę — ale to już szczegóły). Jakie by to było ciekawe, jakie twórcze, jakie mądre, odważne, historycznie doniosłe, gdyby w kraju naszym istniał silny reżim represjonujący racje, tłumiący prawdę; ale taki, od którego można by było żądać, rewindykować,

mammy rację

wywalczać, uzyskiwać, któremu można by było zagrozić.

Otóż, niestety, reżimu takiego brak. Wobec kogo zatem są formułowane te i inne racje? Wobec Pana Boga? Do kogo głosimy pretensje, że nie ma mięsa, towarów, że zimno w mieszkaniach? Do reżimu? Reżim odpowie logicznie: nie ma dlatego, że górnicy nie chcą pracować, jak pracowali; rolnicy sprzedawać mięso, jak sprzedawali dawniej; a inne dobra materialne nie są darem niebios ani prezentem Pana Boga, ale muszą być wyprodukowane w pocie czoła. Ale co robić, jeśli wszyscy mają rację?

Usiądziemy więc na gruzach wywieńconego, zrujnowanego kraju głodni, chłodni i obdarci, ale w błogim poczuciu, że wszyscy mamy rację.

No bo co? Obalić reżim, który ośmiela się jeszcze mówić czasem, iż racji wszyscy nie mają? Bo tylko o to może chodzić kiedy twierdzimy, iż wszyscy mamy rację. Pomijam sumę powodów, dla których uważam taką postawę za zgubną. Co by jednak się stało, gdyby do tego jakimś zbiegiem okoliczności doszło? Obnażone racje rzuciłyby się nawzajem na siebie, w krwawych zmaganiach, bo jak wiadomo, wszyscy racji mieć nie mogą. Historia uczy, że zwycięża wówczas jedna racja, wcale nie najpiękniejsza, która staje się fałszem, niszcząc brutalnie racje innych. I wszystko zaczyna się od początku.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK
Rys. Jerzego Kurnickiego

pisanie w stylu retro

W księgarniach pustki takie, że niedługo półki przypominać zaczęły swoje siostry w sklepach spożywczych, ale od czasu do czasu jakiś wydawca raczy nas pozycją, na którą czytelnicy rzucają się z mgłą na oczach. I tak ostatnio rzucili się młodzi na książkę Andrzeja Stankiewicza „Dyskoteka w stylu retro”, bo temat chwytliwy, a młodzież też ma więcej czasu na czytanie. Od dawna już wiadomo (sam pisałem o tym przed kilkoma miesiącami), iż książek o muzyce nie ma u nas prawie wcale, zaś te, które są, błyskawicznie chłonie zaniedbany rynek czytelnicy. Nadal nie można się doprosić zwykłych encyklopedii czy tłumaczeń ciekawych pozycji. To upośledzenie dotyka przede wszystkim jazz i muzykę rozrywkową. I oto „Nasza Księgarnia” wypływa z siebie — bo inaczej nie można tego nazwać — pozycję zachęcającą tematycznie, w rzeczywistości zaś koszmarnie opracowaną.

Czymże jest „Dyskoteka w stylu retro”, napisana przez współautora zenujących „500 zagadek z muzyki rozrywkowej” oraz autora infantylnej pozycji „Gitarę wczoraj i dziś”? Otóż jest zlepką dziwnie zredagowanych informacji o polskiej i zagranicznej muzyce rozrywkowej oraz zbiorem „felietonów problemowych”, napisanych zapewne z myślą o czytelniku-debilu. Infantylizm znany z książki o gitarze objawia się tu w wersji stereofonicznej i już za sam ów styl autor powinien iść do piekła albo do jasnej cholery. Wspaniale wydany edytorski tomik pogaduszek Stankiewicza nie nadaje się więc ani dla czytelnika zorientowanego w temacie, ani dla początkującego młodzieńca, bowiem jednemu przyniesie rozgoryczenie, drugiemu zaś krzywdę. Gdyby za te opinie Stankiewicz chciałby mnie podać do sądu, to uprzedzam Stankiewicza, że sam powinien tam trafić za wyrzadzanie krzywd moralnych nieletnim; krzywd, za które kary nie ma. Znajac politykę wydawniczą przypuszczam jednak, że za karę u szanownego autora wydawnictwo zamówi następną książkę, bo u nas cały czas stawia się na młodych i żywi nadzieję na ich poprawę.

To rewelacyjne dzieło ukazało się w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, ale ponieważ ma chwytliwy tytuł i kilkanaście (fatalnie zreprodukowanych) fotografii, zniknęło prawdopodobnie błyskawicznie mimo ceny 55 złotych. Nie byłbym zapewne w porządku wobec czytelników (w przeciwnieństwie do Stankiewicza), gdybym nie zacytował próbkę stylu artysty od pisania o muzyce. Otóż Stankiewicz doskonale rozumie problemy muzyczne, dręczące młodych słuchaczy, więc pisze: „Właśnie, co powstaje jako pierwsze w piosence — tekst czy muzyka? Tu nie ma reguły, choć pewne prawidłowości można wychwycić. Zazwyczaj, gdy utwór jest prosty, rytmiczny, o charakterze tanecznym, pierwsza powstaje muzyka (...).” I tak dalej, w podobnym stylu, na wielu stronach. Otóż zapewniam autora, jak i jego czytelników, że nie ma żadnych prawidłowości, bo układów jest tyle, ilu tworzących ludzi, a ponadto ci ludzie sami się dogadują.

Cała książka „Dyskoteka w stylu retro” — poza częściami biograficznymi — to szczegółowe opisywanie problemów nie istniejących, wydumanych, naciąganych, bzdurnych, o których nikt z nikim nie rozmawia, bowiem są ważniejsze sprawy do dyskusji, ale tych Stankiewicz nie zauważa. W związku ze spodziewanymi zamiarami wydawnictwa wobec autora chciałbym służyć pomocą i podać kilka tematów kolejnych książek: „Suw tangowy w dyskotekę”, „Rola surmy w muzyce Boney M” oraz „Andrzej Stankiewicz — dzieła wszystkie” (subskrypcja).

JAN JANUSZEK



(Gdanie kur, trzepotanie skrzydeł)

PAN STEFAN: Gdzie ta kura jest? Jak ona tam wlaźła? Sio, sio!

REPORTER: Co pan taki nerwowy dzisiaj? Gania pan te kury...

PAN STEFAN: Nerwowym, bo wszystko mi tutaj przeszkadza, to kura, to diabeł, to koń.

REPORTER: Jak to w życiu?

PAN STEFAN: O to chodzi.

REPORTER: Panie Stefanie, my tu z interesem do pana. Dowiedzieliśmy się, że pan ostatnio został tutaj prezesem rady nadzorczej.

PAN STEFAN: Tak, kochani, musieliśmy taką firmę stworzyć, bo byśmy tu nie dali rady. Ja wam wytłumaczę, jak to jest (tłumi śmiech) z tą całą naszą firmą. Gdzie nie zajdziesz, to tylko specjalista. Zajdziesz do sklepu — specjalistka stoi; chleb sprzedaje, kartki wycina specjalistka. W urzędzie to samo, naczelnik — specjalista; jakiś agronom — specjalista; od nawozów — specjalista; ten sprzedaje saletę, drugi nawozy te, no, potasowe; od węgla — specjalista. Jakiś grom kursów narobili i gdzie nie zajdziesz, to specjalista. Specjalistów jest od jasnej ciasnej, a towarów nie ma nic. Oni tylko siedzą i w stołek... dmuchają. A my żadnej specjalności nie mamy. Co my urządzili? To my się tu tak zebrali, nasza wioska i tu z sąsiednich, ci niespecjaliści, i radzili. Taki Franek z sąsiedniej wioski mówi: „Słuchajta, chłopcy, ja w gazecie wyczytałem, że za granicą potrzebują specjalistów”. No i my teraz radzimy, żeby tych specjalistów wszystkich od nas odsunąć i na eksport ich dać! Rada tak uchwaliła, i tu święty Boże nie pomoże! Chyba że taki umrze, to już nie pojedzie.

KOMENTATOR: Dwaj reportery radiowe, nie omieszkując ruszyli dalej. Wiodła ich myśl, która spać dziś nie daje po nocach dziennikarzom: jak — tu żyć wygodnie, a pracować wiarygodnie? Na szczęście droga była krótka. Za wiejską rogatką mieszkał pierwszy bohater — dziadek gastrei... gastrabeiter... gastarbeiter.

REPORTER: Dzień dobry! Pan Stefan Stypulkowski?

STYPULKOWSKI: Tak.

REPORTER: A ile właściwie pan ma lat?

STYPULKOWSKI: Przeszło oślemdziesiąt.

REPORTER: I pan jest na tej liście do wyjazdu? Niech nam pan opowie, jak to właściwie było?

STYPULKOWSKI: Właściwie wezwali mnie do gminy... Chciałem się skomunikować z naczelnikiem, ale mówił: że naczelnika ni ma, to jakiemuś tam dyrektorowi mnie przedstawili. No i pyta się mnie, co ja za jeden. Ja w ogóle ziemi bardzo mało mam, tyle że coś tych ziemniaków tam posieję. Trochę działałem: to pierwszą straż ogniową założyłem, potem kilka rolniczych... pegeerw... spółdzielnie produkcyjne. A teraz mówię: „Jedź, stary grzydu, tam gdzieś!” Wysłało mnie poza łobremb, do Nairobi. Jakas to stolica jakiegoś państwa. Czego ja na stare lata tam pojade? Co ja takiego w tym państwie narobił, że mnie tam wysłają? Zaszedłem do nich, a oni koniecznie twierdzą, żeby jechać. No, ale ja chcę się udowodnić. Poszedłem, wzięłem swoje dokumenty bo ja chciałem winy zorganizować tech, tech...

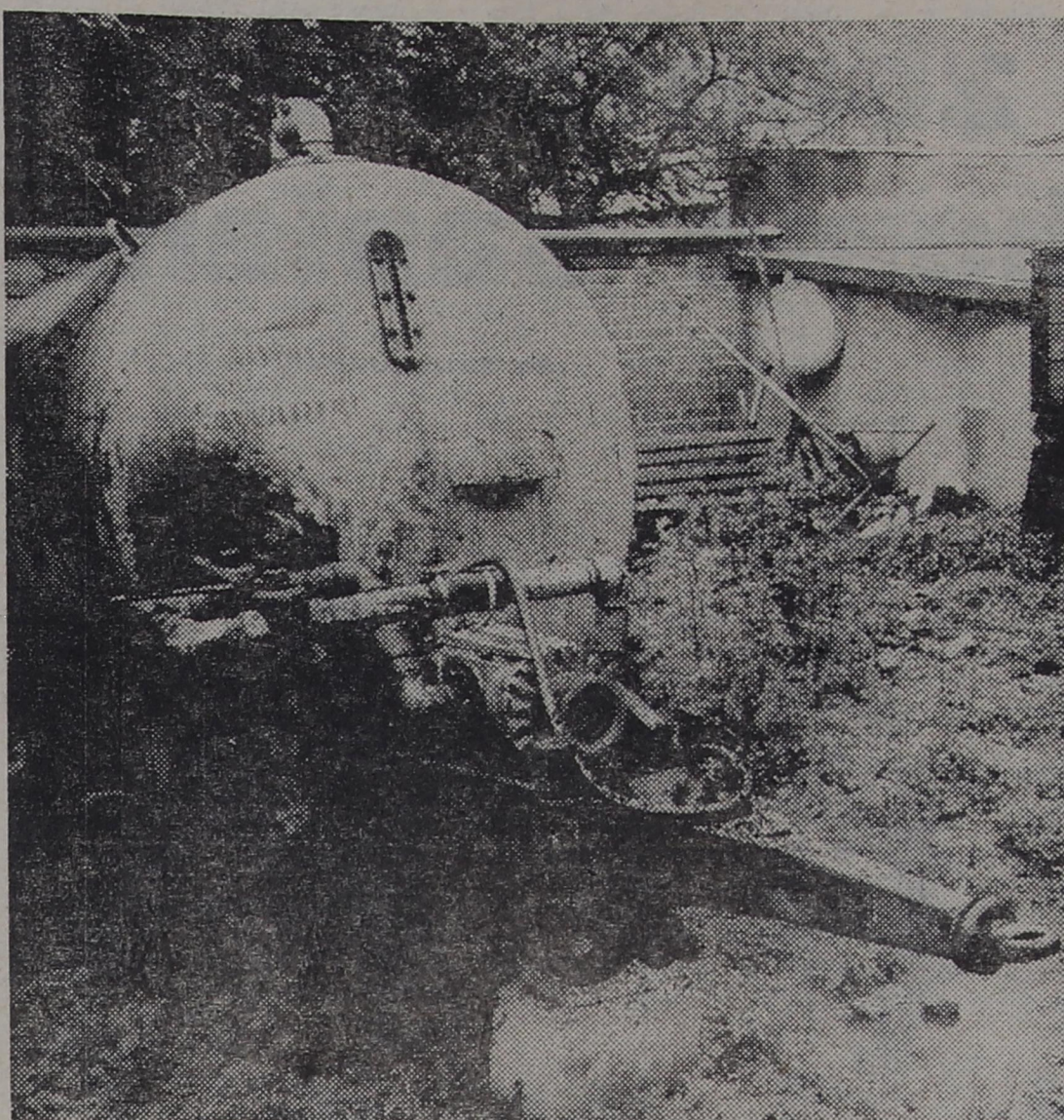
REPORTER: Związków.

STYPULKOWSKI: I: Związków. Ale mnie się jakoś nie udało właściwie.

REPORTER: Aha, ma pan tutaj cały ten rękopis papierów... Jakies oświadczenia od sąsiadów, znajomych... (czeka) „Ja, Kozioł Antoni, oświadczam niniejszym, że obywateli Stypulkowskiemu nie udało się u mnie założyć spółdzielni produkcyjnej”. Nie rozumiem, po co takie zaświadczenie?

STYPULKOWSKI: Po to, żeby oni wiedzieli, że ja nie jestem takim dużym specjalistą.

REPORTER: A tutaj oświadczenie od drugiego sąsiada, że panu nie udało się... namówić go do wstąpienia w szeregi ORMO! Tu jest zaświadczenie, że panu nie udało się zorganizować — czego? Aha, swna wykształcił, tak? Tu jest oświadczenie, że panu się nie udało wybudować szkoły tysiąclatki, tak? Tu natomiast, że panu nie udało się zorganizować we wsadnej zabawy tanecznej. To jest zaświadczenie, że pan nigdy za granicą nie był, a tu, że pan rzadko wyjeżdżał z gminy i tylko dwa razy był w



gastarbeiterzy

województwie. Są one potrzebne po to, aby udowodnić, że z pana słaby specjalista? I co, Rada Nadzorcza usłuchała pana?

STYPULKOWSKI: Nie wiem, jeszcze czekam ostatecznego rezultatu, jak to sprawę rozstrzygną: czy pojade, czy nie.

KOMENTATOR: Dwaj nasze reportery radiowe, pożegnawszy dziadka, zdali się na swój radiowy, na szczęście nigdzie nie akredytowany, węch. Toteż wkrótce dostali się tam, gdzie zamierzali.

REPORTER: Jest pan chyba bezrobotny, bo węgla nie ma, nawozy już wydane?

MAGAZYNIER: Wydane. Nawozy i węgiel już wydane.

REPORTER: I co teraz z panem będzie? Podobno pan wyjeżdża gdzieś? Dokąd pan wyjeżdża i dla czego?

MAGAZYNIER: Ano, nie wiem, daleko jadę. Do Si Lanka.

REPORTER: Jak?

MAGAZYNIER: Do Si Lanka.

REPORTER: Sri Lanka! Sam się pan starał?

MAGAZYNIER: Rolnicy z gminy załatwiają.

REPORTER: Na siłę?

MAGAZYNIER: Tak.

REPORTER: A dlaczegoż to, mianowicie?

MAGAZYNIER: Czy to jest moja wina, że waga tak właśnie chodzi? Ze nie doważa? Sto kilo w lewo, sto kilo w prawo.

REPORTER: A kiedy ona była ostatni raz cechowana?

MAGAZYNIER: Dopiero dziesięć lat temu.

REPORTER: No to przecież musiał pan tych ludzi okradać!

MAGAZYNIER: Absolutnie nie okradałem, waga zawiniła.

REPORTER: Podobno pobierał pan również od rolników jakieś opłaty w naturze, to znaczy — dodatkowe.

MAGAZYNIER: Absolutnie nie. No, jak rolnik przyjechał i pół litra ze sobą przywiózł, a mnie powiedział, to co? To nie jest żadne przestępstwo, panowie!

REPORTER: A jednak pana wysyłają?

MAGAZYNIER: Wyjechać łatwo, ale człowiek będzie do ojczyzny swojej tęsknił. Bo tam w Sri Lance, panowie, to ja dam radę: z węglem, z nawozami, z wagą i z chłopami dam radę. Tylko najgorsza ta tęsknota do kraju, do ojczyzny właśnie. Leży na sercu ta tęsknota.

(Odgłosy tamtamtów i dźwięki innych afrykańskich instrumentów)

KOMENTATOR (w podniosłym tonie): Zmierzchnęło, ale w gabinecie paliło się światło. To trzeci już gastrabeiter... gastarbeiter... woli szykować się do drogi

(Pukanie do drzwi)

SPECJALISTA DS. REGLAMENTACJI: Proszę. Panowie, może za moment (pisk zamykanych drzwi), no bo w tej chwili jestem zajęty trochę.

REPORTER: Ale my naprawdę zajmujemy panu pięć minut, góra trzy. Zona nam mówiła, że pan w tej chwili przygotowuje się tutaj do... Pan podobno znajduje się na liście wysyłkowo-wyjazdowej na jednym z czołowych miejsc. Czym pan sobie zasłużył na taką nagrodę?

SPECJALISTA: Po prostu udoskonaliłem nasz system kartkowy. Poszedłem bardziej daleko do przodu.

REPORTER: Jeszcze do przodu?

SPECJALISTA: Tak. W ogóle jestem referentem gminnym ds. reglamentacji. Chodzi o to, że ten system kartkowy, który w tej chwili mamy, absolutnie mnie nie zadowala jakoś tak wewnętrznie i po prostu chciałem go na własną rękę bardziej udoskonalić, wdobyć w naszej gminie.

REPORTER: To jest książka życzeń i zażaleń? Nie — jakieś nowe kartki na mięso. Cztery gatunki?!

SPECJALISTA: W ogóle w Polsce było dwa gatunki, ale ja postuluje cztery gatunki wprowadzić od razu. Wprowadzono trzeci gatunek, myślę, że to też jest moja zasługa. A czwarty — no, przecież jak można! Przede wszystkim takie podstawowe rzeczy, jak kości, kopyta, jelita, wymiona, racice, rogi, zęby, uszy, nie są objęte systemem, To jawne przeoczenie jest.

REPORTER: Jeszcze tylko dwa króciutkie pytania. Słyszeliśmy z kolegą, że pan wlaścił się tym, iż jako pierwszy w kraju wprowadził kartki na mięso, tak?

SPECJALISTA: Oczywiście. Przecież u mnie w biurze były takie kolejki za kartkami początkowo...

REPORTER II: Pan wydawał kartki, żeby ktoś mógł przyjechać po kartki na mięso i odebrać spokojnie, tak? I za te wszystkie zasługi naród wysłał pana. Dokąd?

SPECJALISTA: Mam trzy propozycje, trzy warianty: Azja dalsza, Oceania środkowa i głęboka Afryka.

REPORTER: Pan zna jakieś języki oceaniczne?

SPECJALISTA: O tyle, o ile. Tylko w zasadzie po co tam te języki? Przecież wystarczy znać symbole: R, A, B...

REPORTER: Ale tam występują zupełnie inne, jak przypuszczam, towary!

SPECJALISTA: Już ja mam pewne przemyślenia. Otóż nie można zakończyć, założymy reglamentacji

mięsa w tamtych krajach na trzech gatunkach. Przykładowo: jeżeli wysła mnie na Oceanie, tam prosiaka nie uświadczysz, tylko żyrafy, kangury. A przecież w takiej żyrafie jakie są perspektywy! Z takiej żyrafy aż sześć gatunków mięsa można wyciągnąć. Nawet z jednej szyi, proszę pana. Inne mięso jest przy głowie, inne w środku, inne w dole. Albo, założymy, taki kangur: przecież dodatkowo torba przecież...

REPORTER: Czy pan to wszystko z własnej głowy?

SPECJALISTA: Tak. Była to moja inicjatywa, ale musiałem się jakoś podeprzeć literaturą fachową. Pierwsze kroki skierowałem do biblioteki gminnej, tam kompletnie nic nie uzyskałem. W Bibliotece Wojewódzkiej, ooo, troszeczkę prasy, tej powojennej. Tam był taki system reglamentacji na początku lat pięćdziesiątych, ale bardzo prosty. W zasadzie z takiego systemu przykładu brać nie można. Pisałem również do Biblioteki Narodowej, odpisali mi, że nic nie mają, ani w języku polskim, ani — tym bardziej — obcym. Otóż w tej chwili opracowuję takie opracowanie naukowe w postaci dostępnej książki... tylko że nie ma akurat tytułu. Tytuł to ja raczej zostawię w tajemnicy aż do wydania. No i jeden rozdział poświęcę, ale to już po powrocie, właśnie tym systemom zagranicznym.

(Rytmiczne dźwięki pieśni afrykańskiej)

KOMENTATOR: A teraz pora na finał, czyli ogólne podsumowanie.

REPORTER: Jest pan w gminie osobą najlepiej poinformowaną. Może pan rozszyfruje ten szyldzik: „Gmin. Serwis KIPA”.

WIEDZĄCY: To jest „Gminny Serwis EKIPA”. POLSERWIS to była instytucja dość niemrawa, więc powstała taka Rada Nadzorcza u nas w gminie, która zrobiła spis gminnych fachowców. Ich właśnie mamy wydalić na roboty gdzieś do innych państw. Czterdziestu specjalistów mamy w tej chwili do wysłania. Na ten rok. Może coś nie wyjdzie, ale sądzę, że część z nich, trzy czwarte, na pewno wysłamy.

REPORTER: Kto jest na pierwszym miejscu?

WIEDZĄCY: Naczelnik miasta i gminy, dyrektor SKR-u, gminny referent ds. reglamentacji, aptekarz, dyrektor szkoły, szef POM-u, kierownik piekarni i tak dalej.

REPORTER: A dyrektora SKR-u gdzie pan wysła?

WIEDZĄCY: No więc tutaj byli różne przymiarki. Może do Mozambiku? Nie zna się na maszynach rolniczych, więc my chcemy tam, gdzie po prostu prawie nie ma maszyn rolniczych. To jest dyrektor od dyktowania.

REPORTER: A dyrektora szkoły?

WIEDZĄCY: Trzeba go skierować do takiego kraju, gdzie po prostu nie ma szkół, gdzie jest największy analfabetyzm, żeby on zaczął od dachu pod przyszłą szkołę, ławki im tam zrobił, tablicę jakąś solidną...

REPORTER: Aptekarz do Zimbabwe, tak?

WIEDZĄCY: Tak. Od dziesięciu lat w aptece u nas żadnego leku nie było, to on tam sobie przypomni, jak i z czego co się robi, bo tam tylko ziołowe są.

REPORTER: To właściwie wasze przedsiębiorstwo nie ma sensu istnienia, bo dubluje POLSERWIS?

WIEDZĄCY: Wprost przeciwnie, POLSERWIS to dwadzieścia czy ileś tam procent zabiera sobie od pensji, prawda? A my wysyłamy pracownika i jeszcze do niego dopłacamy trzydzieści procent. Byle go wysłać z kraju, konkretnie — z gminy.

REPORTER: Macie jakiś specjalny fundusz społeczny?

WIEDZĄCY: Oczywiście, mamy fundusz społeczny na ten cel: 18 tysięcy marek, 14 tysięcy rubli, 18 tysięcy franków szwajcarskich, 22 500 dolarów. Zresztą to wszystko jeszcze nie jest podsumowane, bo w tej chwili wpływają te pieniądze od ludzi.

(Egzotyczna muzyka afrykańska)

ANDRZEJ PARTOSZ
WIESŁAW JANICKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

11
KONTAKTY
25.X.1981

obcy



zbuntowany homo sapiens

-NIE PRZEDRZEŃNIAJ, WAŚCI!..



Socjologowie, ludzie badający to, co najtrudniej badaniom się poddaje — społeczeństwo, podzielili drogę naszego rozwoju na wiele etapów. Otwiera ją homo sapiens — człowiek myślący, a potem, w zależności od tego jaki obszar aktywności kto bada, idą: homo labor, homo viator, homo oeconomicus, ludzie tworzący, wędrujący, ekonomiczni... Granice zakresów przez uczonych są płynne, a przy bliższym poznaniu okazuje się, że jest tylko jeden: człowiek! Wszyscy pozostali to tylko pojęcia. Ciekawe też, że w swych specjalizacyjnych zapędach nauka nie wyodrębniła człowieka strajkującego, uważając, że odmowa pracy jest zjawiskiem towarzyszącym procesom ekonomicznym, społecznym. A przecież jest to niezwykle ważny w dziejach cywilizacji akt woli, kształtujący stosunki międzyludzkie, relacje między pracą a kapitałem, pracodawcami i pracownikami, rządzącymi i zarządzanymi. Ważność pracy ludzkiej w dziejach i wpływ na nią odmowy czyni z tej ostatniej zjawisko stanowiące o człowieku. Decyzje o porzuceniu warsztatów zapadały zawsze wówczas, gdy lojalność, wynikająca z ustalonych lub narzuconych warunków, stawała się przestępstwem przeciwko niezbywalnemu prawu ludzkim. Nigdy nie było innych strajków. Sytuacje, w których to, co miało służyć człowiekowi obracało się przeciwko niemu powstawały — na tle konfliktu podmiotów i przedmiotów władzy. A ściślej, w wyniku odrywania się ośrodków władzy od tych, którzy je stworzyli. Miało to miejsce wówczas, gdy formy jej sprawowania stawały się konserwatywne i w wyniku tego okazywało się, że są za stare, aby rządzić społeczeństwem. Etiologia starzenia się władzy ma zaś swe źródło w tym, jakie trendy w siłach tworzących społeczność zdobyły priority. Często, a nawet bardzo często, napędem były tu zsumowane, negatywne działania jednostek, wynikające z bardzo prymitywnych pobudek

Odnosząc rzecz do naszej, polskiej rzeczywistości, główną przyczyną naszego upadku był pęd do bogacenia się, który ogarnął gremia rządzące. Na usprawiedliwienie niemoralnych w socjalizmie poczynań ukuto tezę o konieczności istnienia tzw. awangardy socjalnej, od której klasa robotnicza uczyłaby się jak żyć. Ponieważ klasycy nie pozostawili nam wzorców bogatego komunisty, owa awangarda czerpała je skąd się dało: od Rockefellerów, od cesarza Iranu, od prezydenta Cartera. Oderwanie i konflikt między źródłem i nurtem były w takich warunkach nieuniknione. Nie spostrzeżliśmy nawet, a obiektywnie negatywne cechy człowieka socjalizmu stały się cechami modeli, preferowanych przez ośrodki dydaktyczne: klasyczny przykład „Uszczelki”, czy robotników „awansujących do biurokracji”, w serialu telewizyjnym „Dyrektorzy”. Nagrodą za pracę stała się możliwość zmiany działań produkcyjnych na bezproduktywne. Wynikało to stąd, że kierujący — świadomie lub podświadomie — uważali się za coś lepszego od rządzących. Zaczęto się wstydzić przeszłości. Wyniesieni do władzy przyjmowali swych rodziców, prostych ludzi, w przedpokojach; łatwiej było przeprowadzić nazwanie ulicy imieniem jakiegoś ministra w rządzie carskim niż robotnika-rewolucjonisty, bo ten drugi był na wszystkich zdjęciach w złe leżących na nim lub brudnych ciuchach.

Ale, wracając do głównego nurtu rozważań — odmowy pracy: w dużej skali miała ona zawsze charakter polityczny, jako że nie sposób zakwestionować jej doniosłości społecznej. Król przy pomocy zbuntowanych mas obalał króla, prezydent prezydenta, dyktator dyktatora... Wszystko jedno, czy u źródeł leżał konflikt między własnością wolności człowieka a jego osobowością (strajki niewolnicze), czy między kapitałem a pracą (rozwoj kapitalizmu), czy między potrzebami, a możliwością ich zaspakajania (nasza rzeczywistość). Władza w różny sposób starała się je rozwiązać lub wykorzystać. Słusznie do mniej znanych przykładów z historii, ilustrujących te tezę.

W roku 2710 przed narodzeniem Chrystusa 50 tysięcy robotników zatrudnionych przy budowie piramidy Cheopsa, dla poparcia swojej skargi na złe i niedostateczne wyżywienie

porzuciło pracę. Przyczyny miały więc charakter — można rzec — biologiczny. Złe odżywienie człowieka, zmuszony do pracy ponad siły — „zjadł sam siebie”, ale sposób rozwiązania konfliktu był polityczny. Tłum strajkujących robotników najechało wojsko, wycinając w pień kilkanaście tysięcy ludzi. Reszta powróciła do pracy.

W 1475 p.n.e. żydowscy murarze, którym przewodził Mojżesz i Aaron zbuntowali się przeciwko uciskowi faraonów egipskich. O konsekwencjach tego sprzeciwu możemy przeczytać w Starym Testamencie.

W roku 601 wybuchł strajk robotników zatrudnionych przy budowie tamy na rzece Chong-ho w Chinach. Żądali jednego — wyższych zarobków. Namiestnik cesarski, powołany do rozstrzygnięcia sporu rozwiłkła go prosto — kazał ściąć 1700 głów robotników.

Przykład ogromnego okrucieństwa przy tłumieniu strajków dał na 29 lat przed naszą erą, król Herod. Pracę porzucili robotnicy budujący świątynię w Jerozolimie. Żądali — wydawaliby się — niewiele: aby lepiej ich karmiono. Herod wysłał konnicę, która otoczyła strajkujących i wszystkich wymordowała.

W Starożytnym Rzymie, w roku 64 zbuntowali się zatrudnieni przy odbudowie wiecznego miasta po pożarze, spowodowanym na sygnał Nerona. Z rozkazu cesarza pretorianie zabawili się w myśliwych — urządzili polowanie na strajkujących. Kilku z nich wyrznięli, a siedemnastu łaskawie osadzili i skazali na przybicie do krzyża. Te przypadki uznaje się za jedne z pierwszych przykładów odmowy pracy w dziejach całej ludzkości, ale — jak wiadomo — nie ostatnie.

W roku 72 naszej ery zginęło w Rzymie kilkuset żydowskich niewolników, którzy odmówili wznoszenia łuku Tytusa — pogrójce Jerozolimy. Również w 324 roku n.e. zatrudnieni przy budowie kościoła w Konstantynopolu robotnicy porzucili pracę. Przedsiębiorca zwrócił się o pomoc do cesarza, który kazał natychmiast powiesić przywódców strajku przed kościołem. „Interwencja władz” okazała się efektywną — wszyscy pozostali powrócili do pracy.

W Średniowieczu Karol Wielki również skutecznie rozstrzygnął spór między robotnikami budującymi pałac w Akwizgranie, a przedsiębiorcami. Dwudziestu robotników powieszono, osiemdziesięciu zesłano na galery do Hiszpanii. Wilhelm Zdobywca zaś, gdy zbuntowali się budowniczy jego zamku w Hastings kilkunastu kazał ściąć, a kilkunastu przedł do Francji jako niewolników. O pierwszym strajku

rolnym donoszą kroniki angielskie z 1271 r. Zbuntowała się wówczas służba folwarczna w hrabstwie Norwich. Robotników wieszano z honorem — w obecności samego króla.

Znaczną liberalizację stosunku do strajkujących można zauważyć dopiero w XVI wieku. Na przykład w roku 1563 w Hiszpani zastrajkowali murarze wznoszący pałac. Tylko siedmiu zesłano na galery, pozostawionych zaś wysłano do Ameryki. W roku 1705 stolarze Piotra Wielkiego zażądali skrócenia dnia pracy. Za to kilkunastu z nich powieszono, stu wysłano na Syberię, około tysiąca wcielono do wojska.

Rok 1799 przyniósł w Anglii oficjalny zakaz zrzeszenia się robotników, który cofnięto dopiero w 1824 — w zasadzie od tego czasu rozpoczyna się rozwój tego, co nazywamy świadomością klasy robotniczej. Objawia się to właśnie w formie zorganizowanej odmowy. Bez względu na to, jak się później cała rzecz rozstrzygnie — masakrą robotników czy zwycięskim powstaniem — u źródeł jest odmowa. Od momentu, gdy pracy podporządkowano organizację państw i narodów — co zrobił kapitalizm — wszystkie wstrząsy zaczynają się przy warsztacie.

Druha Rzeczypospolita powstała również wśród rozruchów strajkowych. W okresie kryzysu, który wybuchł w latach dwudziestych miały one szczególnie ostry przebieg. Od zakończenia wojny w roku 1920 nie było w Rzeczypospolitej spokojnego dnia. Na czele trafiał wybrałem numer „Robotnika” z 9 października 1923 roku. Przedrukowano w nim interpelację klubów sejmowych PPS, PSL, „Wyzwolenie” i „Jedności Ludowej” złożoną w Sejmie, a dotyczącą ogólnej sytuacji państwa i polityki rządu. Posłowie zwracają w niej uwagę na fakt, że w ostatnich miesiącach położenie Rzeczypospolitej stało się katastrofalne. Następuje niebывale szybki spadek wartości pieniądza obiegowego, w połączeniu z niczym nie krepowaną spekulacją. Taki stan rzeczy stawia szerokie masy w „położeniu rozpaczliwym”. Rząd zaś nie tylko nie przeciwdziała temu, ale wręcz potęguje klęskę przez brak jakiegokolwiek planowości działania, uleganie żądaniom grup kapitalistycznych, nie podejmowanie istotnych prac nad naprawą skarbu. Działalność poszczególnych ministrów doprowadziła politykę państwa do stanu chaosu. A to z kolei stało się przyczyną upadku w społeczeństwie wiary we własne siły, a nawet paniki. Minister Spraw Wewnętrznych, na przykład, wkroczył — zdaniem posłów — na drogę łatwych represji, otoczył „opieką” wielu posłów, senatorów, działaczy robotniczych, ale pozwala, aby pod jego nosem funkcjonowała bezkarnie organizacja faszystowska. Pan minister spraw wojskowych u-

suwa ze służby oficerów, nawet bardzo zdolnych — tylko ze względu na ich przekonania polityczne; minister pracy zawiesza wybory do kasy chorych. Słowa te wyrosły na gruncie powszechnego niezadowolenia.

10 października ten sam „Robotnik” donosił: „Witos powiedział w Sejmie, że klasy posiadające nie płacą podatków”. Tego dnia było już w obiegu 11.977.737.897.342 marek, dziennie drukowano ich 234.229.264.332.

W dwa dni później wybuchł na Śląsku strajk powszechny. Już 13 października zastanawiano się, czy istnieje możliwość rozszerzenia protestu robotniczego również na Zagłębie Dąbrowskie. Odbyło się spotkanie górników z przedstawicielami przemysłowców, ale delegacja pracownicza nie zgodziła się na 130-procentową podwyżkę płac, motywując to tym, że koszty utrzymania rosły szybciej. W niedzielę, 14 października strajk w kopalniach rozszerzył się na całe zagłębie.

20 października na czołwce „Robotnika”, centralnego organu PPS ukazało się następujące motto, zaczerpnięte z Hilferdinga: „Tam, gdzie socjalizm boi się odpowiedzialności, przychodzi faszyzm”. Nawiązywało ono do nasilającej się fali strajkowej. Zaprotestowali kolejarze w odpowiedzi na próbę militarystyki kolei. 5 listopada ogłoszono w Polsce strajk powszechny. W Krakowie policja strzelała do robotników — zawieszono w związku z tym obrady Sejmu. Marszałek Rataj zaproponował zawieszenie obrad na znak żałoby „po poległych żołnierzach i policjantach”. Został za to bardzo ostro zaatakowany przez posłów: Norberta Barlickiego i Stanisława Thugutta, którzy oświadczyli, że nie wspominanie nawet o zabitych robotnikach jest w Sejmie demokratycznego państwa niegodziwością.

W dniu 20 lipca 1924 roku można było przeczytać w prasie demokratycznej — tej, która istotnie demokratyczną była, a deklarowała swą demokratyczność nawet pisma reakcyjne — o masakrze robotników strajkujących Częstochowy, o strajku dwudziestu tysięcy metalowców Warszawy, o proteście Żyrardowa. W roku 1925 wstrząsają Polskę także strajki rolne. Można zaryzykować stwierdzenie, że w dwudziestolecie międzywojennym Rzeczypospolitej nie było jednego tygodnia bez strajku.

Czy dziś jest inaczej?

W miarę rozwoju powiązań technologicznych, integracji gospodarczej, współpracy technicznej — ramach całych krajów bądź związków przemysłowych — zrodziło się również pojęcie strajków międzynarodowych, podejmowanych na znak solidarności.

Historia tego rodzaju protestów sięga lat tworenia się pierwszej na świecie władzy radzieckiej. Już wtedy, w odpowiedzi na podejmowaną interwencję w ZSRR przez państwa zachodnie Europy, zastrajkowali dozerzy w portach. W latach sześćdziesiątych zaprotestowało m.in. 300 tysięcy pracowników koncernu Philipsa w Belgii, Francji, Holandii, RFN, Wielkiej Brytanii i Włoszech. W roku 1969 wybuchł strajk pracowników przemysłu chemicznego we Francji, RFN, USA, Włoszech — domagano się zawierania jednako korzystnych umów o pracę we wszystkich tych krajach — w przemyśle szklarskim. W 1972 roku — co już pamiętamy — na znak protestu przeciwko piractwu powietrznemu strajkowali piloci zrzeczeni w Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Pilotów Cywilnych. W czerwcu tegoż roku zanotowano, jednocześnie we Włoszech i Wielkiej Brytanii, protest w koncernie Pirelli i Dunlop.

Czy w rozwoju form protestu, związanych przecież ścisłą zależnością z rozwojem środków produkcji, pójdziemy dalej? Czy doczekamy się np. strajku kolonii Mars, zaprzęgniętej do służby na rzecz istot ziemskich? Zanim te problemy staną się realne, oczywistym jest wniosek: Władze polityczną ma dziś tylko ten, kto posiada klucz do motoru napędowego procesów wytwórczych — odpowiednie motywacje do pracy. Przemoc bowiem — co powinno nam być wiarą i nadzieją — coraz skuteczniej spychamy do historii.

ZENON PIECHOCIŃSKI
Rys. Juliusza Puchałkowskiego

Kiedy wujkowie wrócili po zakończeniu wojny i zobaczyli mnie, każdy chciał siebie wybielić. Wmawiali mi przy matce jakieś odwiedziny, jakieś prezenty. Ja twardo upierałem się, że nigdy nie widziałem ich na oczy i nigdy niczego nie otrzymałem. Wtedy matka zrozumiała, że jak jechali do Wilna, by coś od niej mi kupić, przepijali pieniądze. Więc teraz, jak niegdyś za Bugiem, na nowo wybuchały kłótnie o stare sprawy, o mnie.

Moje siostry i brat też mi dokuwali, że przyczyną kłótni jestem ja i moja działalność społeczno-polityczna. Więc zmuszony byłem opuścić rodzinny dom. A przecież tyle już zrobiło się dla sprawy. Nawet pożyczkę subskrybowaną zorganizowałem. Cała wieś dołożyła się. Ja też dołożyłem 1000 złotych. Matkę, na zebraniu wiejskim, sprowokowałem do jej podpisania, co mi potem wypominała.

Teraz musiałem to wszystko opuścić. Poszedłem pieszo do miasteczka. Tam zaczęłem się w Technicznej Obsłudze Rolnictwa jako ślusarz. Przeważała młodzież. Wszyscy byli zdania, że każdy z nich jest cwańszy od drugiego. Reperowaliśmy traktory z UNRRA. Brakowało części zamiennych, więc ich przydatność była marna dla rolnictwa.

Nazywano mnie „Wieśniakiem”. Dyrektor był bardzo niezadowolony. Jak mu się coś nie podobało, zaraz krzychał: — Za bramę won! — Kiedyś po takim incydencie postawiłem veto. On, że odpowiada za produkcję; ja, że to nie folwark własny, tylko państwowe przedsiębiorstwo, zaś organizacja partyjna jest tutaj do niczego, bo nie stoi w obronie robotników, a ludzi do pracy brak. Poszedłem do Komitetu Powiatowego. Tam mnie przyjął życzliwie I sekretarz, tow. Chudecki. Zaraz go wezwał i poskutkowało.

Żałoga jakoś dziwnie popatrzyła. Odtąd wszystkie bolączki kierowała do mnie. Ja na to, że nie załatwiam, bo od tego jest Rada Zakładowa i POP. Mimo to ludzie do mnie szli. Więc postanowiłem założyć ZMP. Zapisano się dużo. Łuniewski był przewodniczącym, ja jego zastępcą. Proponowano mi wyższą funkcję, ale nie mogłem przyjąć, bo nie znałem miasta i ludzi miastowych. Sam miałem obyczaje chłopskie, szorstkie w obejściu. Ta organizacja bardziej była zespólna niż „Wici” na wsi. Lepsza dyscyplina, ale i inna praca. Czułem się tu swobodniej, wypowiadałem się płynniej. Zaraz to zauważono i zaproponowano mi stanowisko organizacyjnego w zarządzie powiatowym ZMP. (Można sprawdzić w książce pt. „Wróciła Polska”. Tam figuruje moje nazwisko: Paczkowski. Dzisiaj noszę inne).

Byłem już w ZMP, a normy wykonywałem najmnijmniej. Sam się temu dziwiłem. Przecież praca była mi nieobca. Umiałem już łączyć poszczególne części silników. Dopiero starsi z moich stron powiedzieli: — Oni się z ciebie śmieją. Każ wpisywać w kartę wszystkie prace, nie tylko przy silniku. Jak dobrze pójdzie, to przekroczywszy ichnią normę.

Już byłem poważnym pracownikiem TOR-u: pokazałem się nie tylko w pracy, ale i w sporcie. W powiatowych eliminacjach miałem trzecie miejsce. Pamiętam jak dziś: tysiąc metrów przebiegłem w 3 minuty i 17 sekund. Wszyscy mi gratulowali. Nawet dyrektor, który miał wiele uprzedzeń do mnie. A sam sekretarz POP, tow. Sliwiński, powiedział: — Na tobie można polegać, bo jesteś stanowczy, odważny i pracowity. Jak będziesz wstępował do partii, sam podpiszę jako wprowadzający.

Cieszyłem się tym sukcesem.

Przestałem chodzić do kościoła, ale kiedyś poszedłem. Nie żeby się modlić, ale przeżyć duchowo muzykę organową. Cisza i spokój. Wszyscy u Boga szukają pomocy. Przed nim są równi: złodziej, bandzior, wróg klasowy, oszust. I ten któremu życie nie skapilo trosk i zmartwień. Organy grały, ja unosiłem się wraz z muzyką, ku niebu myślą i sercem. Moja ukochana Polska jest w potrzebie. Jest dla niej wiele do zrobienia. Dlaczego Ty, Boże, utrudniasz mi to dzieło? W myśli przebiegały mi modlitwy: „Błogosław, Matko, naszej biednej Ziemi, bogatej tylko w nieszczęścia i lzy. O-

chron jej dzieci, idąc razem z nimi przez wichury, burze i przez ciemne mgły”. Potem olśnienie. Jednak chroni, bo działam i pracuję. Za mną idą masę.

Mieszkalem skromnie — w pokoiku i kuchni na poddaszu. Kupiłem sobie proste, niezbędne meble. Kiedyś, idąc do pracy, zauważyłem, że spółdzielnia krawiecka została okradzona. Rabusie weszli, wyważając lewarem podłogę w piwnicy, zabrali bele materiałów. Zaczęłem liczyć w pamięci: jeżeli mamy w Polsce takich miasteczek 10 000, i jeśli w każdym z nich tyle zrabują, to przez wieki będziemy pracować i nie dorobimy się.

Po tej kąpieli zimna szklanka mleka zrobiła swoje: szybko zasnąłem na piecu do pieczenia chleba.

Był to rok 1945, bardzo wczesna wiosna, więc zaraz zabrałem się do przygotowywania narzędzi do uprawy roli. Matka doglądała w zagrodzie wszystkich. Sąsiedzi mnie nagabywali: — Nu, matku ty spotkawszy. Aj, szczęśliwa dzieć! I wojnu przeżywszy, i matku naszowszy! Ajajaj.

Znalazłem tom, czegom pragnął przez całe moje życie — ale nie byłem zadowolony. Ona też nie była ze mną szczęśliwa. Sąsiedzi wytykali

gę? Sam się pieść. — A często widziałem, jak tuliła główki mych siostr i brata.

W eszelonie jeden drugiemu pomagał było poić; już zawiązywał się zespół. Przedtem każdy nie odchodził od swej krowiny i konia, teraz zaczął jeden drugiemu wierzyć i pilnować na zmiany bydła. Po drodze był wypadek śmiertelny. Jakaś staruszka poszła pod wagony za potrzebą i pociąg ruszył. Koła przejechały ją na pół. Po drodze gadano różne brednie — o grasujących wilkołakach i o bandach, rabujących i mordujących nowo osiadłych. Wielu się łamało i naklaniało do zmiany kierunku. Ale pociąg trudno było zawrócić. Doganiały nas inne transporty, co dawało nam wiarę, że nie sami jedziemy zasiedlić tereny, które nam wróg oddał dobrowolnie. Mijaliśmy stacje i wsie całkowicie puste. Domy stały bardzo mało zniszczone w porównaniu do domostw w ZSRR.

Na zebraniu w zakładzie zorganizowaliśmy grupę ORMO. Był rok 1951. Po pracy nakładałem opaskę na ramię, pepeszę zawieszałem na plecach i chodząc po mieście jako patrol. Byłem dumny. Ale czułem też niedosyt. Wydawało mi się, że za mało daję z siebie. Napisałem do Rozgłośni Polskiego Radia w Szcze-

pensją — 280 złotych miesięcznie. W ZMP miałem więcej. Ponadto społeczeństwo tamtejsze było uprzedzone do TPPR-u, o czym przekonałem się dopiero w praktyce.

Organizowałem kursy nauczania języka rosyjskiego dla aktywów zakładów pracy. Uczyli się, bowiem wiedzieli, że przy pomocy ZSRR nasz kraj się rozwija, a język konieczny jest potrzebny dla stosowania nowoczesnej techniki uprawy zbóż, warzyw, owoców itp. Do naszego miasteczka powiatowego przyjeżdżał zespół Armii Czerwonej, dawał sztuki dla miejscowego garnizonu i cywilnej ludności.

Zaraz po objęciu pracy wysłano mnie na kurs TPPR-u do Sulejówką, tego samego, skąd Piłsudski w 1926 r. ruszył na Warszawę, by dokonać zamachu. Uczyliśmy się w willi Paderewskiego, wielkiego kompozytora. Przyjeżdżali do nas tacy politycy, jak Ochab, Cyrankiewicz, Matuszewski. Tam poznałem wiele spraw dla mnie niezrozumiałych. Czułem się naładowany jak akumulator. Już można było mnie eksploatować ku chwale ojczyzny. Egzamin zdałem bardzo dobrze. Przyjechałem do domu po sześciu tygodniach. Moja córeczka nie mogła mnie poznać, płakała. Przestała płakać, kiedy zobaczyła w klapie zna-

misjonarz w czerwonym krawacie



jei: — Znajdu urodziła, i tak jej ucieka! — A mej matce do pyskówki nie było daleko.

Na zebranie wiejskie przyjechał przedstawiciel Armii Czerwonej i władz miejscowych. Zaczęli namawiać do wyjazdu na Ziemię Zachodnią. Tłumaczyli, że za piaski — o trzymujemy żywe grunty — że czeka nas wprawdzie ciężka praca, ale będzie natychmiast wynagrodzona. Tam są domy murowane i podpiwniczone, wraz z całym dobytkiem. Nikt temu nie wierzył, ale ja coś niecoś z frontu znałem, więc wiedziałem, że Niemcy uciekając w popłochu, zostawiali wszystko. Zaczęłem namawiać mamę, by pojechała. Ona długo wahała się. Ale gadałem jak szatan kusiciel: — Mama jedź! To co mówią, jest prawdą. Po co być stale na pośmiewisko wsi i znosić takie upokorzenia, że mnie urodziła panną.

— Tak, synku, zgadzamy się z tobą. Odjadźmy na dzika Zachód.

Złożyliśmy papiery. Państwowy Urząd Repatriacyjny mieścił się w Oszmianach. Mama zgodziła się zostawić obsiane pola (miała 3,5 hektara ziemi) oraz jednoizbowy domek z belek, kryty słomą, ale też zostawiła swych wrogów, których nienawidziła, a także swoich rodziców, a moich dziadków, których zabraniała mi odwiedzać. Ale czasem, po kryjomu chodziłem do nich i słuchałem ich zwierzeń. Uważali się za szlachtę, i to nie było jaką. W ich izbie wisiły różne szable, odznaczenia państwowe (nie polskie i te polskie, z legionów), pożółkłe fotosy, z których strannie było usunąć lico mojej matki.

Tak więc jechałem na Zachód z matką, która była mi jeszcze nadal obca. Raz mi powiedziała: — Co myślisz, że ci pieszczotami usię dro-

cinie artykuł, który został bardzo pochylnie i przychylnie przyjęty. Tak zostałem wciągnięty w wir pracy korespondenta robotniczego.

W Zarządzie Powiatowym ZMP poznałem dziewczynę pełniącą służbę w SP. Tak mi wpadła w oko, że zakochałem się. Przyjeżdżałem w wolne chwile do PGR-u i tam romansowaliśmy.

W rodzinie mojej dziewczyny nie byłem zbyt mile widziany. Jej ojciec, urzędnik PKP, często w dyskusji nie zgadzał się ze mną. Chodziło o nowoczesność przemysłu, o pracę dla wszystkich, o ulepszony transport PKP (elektryfikacja). Do wszystkiego trzeba go było przekonywać. Nie tak na sucho, ale popijając „Periówkę” (taką wódkę sprzedawali). Głowy nam się kiwały, a my politykowaliśmy w czterech ścianach.

— Lepiej byś dobrego zawodu się nauczył, a nie polityką zajmował — tak uważano w rodzinie mojej przyszłej żony. Jednak praca społeczna, którą wykonywałem, była potrzebna. Wiem dzisiaj z całą pewnością, że na marne nie poszła.

Ożeniłem się. Ślub wzięliśmy w kościele. Nie miałem nawet metryki urodzenia. Ksiądz jednak zgodził się udzielić nam ślubu, dlatego że byłem wychowankiem księży Salezjanów w Wilnie. Potwierdził to mój wujek. Na wesele nie przyjechała moja ukochana mamusia. Kazała sobie zafundować taksówkę do wsi (40 kilometrów) Nie stać mnie było na taki wydatek.

I tak życie parło naprzód, ku wyżynom naszych ideałów. Nie byłem jeszcze partyjny, ale zostałem wezwany do KP PZPR. Tam zapytano mnie, czy zgodziłbym się pracować w organizacji TPPR na stanowisku inspektora powiatowego. Wielki tytuł, jak na moje młode lata, ale z

czek TPPR-u. Złapała za znaczek i zaczęła się śmiać. Wtedy poznała mnie — ojca. Często pozwalałem jej bawić się kłapą marynarki, w której był przypięty znaczek.

Kurs mi bardzo dużo pomógł. Na wsi zadawano mi przedtem takie pytania, na które nie mogłem i nie umiałem odpowiedzieć. Musiałem pogodzić swoje sumienie z polityką partii. Mały zarobek dawał się we znaki. Pracowałem i nie dojadłem, bo takiemu jak ja nie chcieli na wsi wody podać. Raz pojechałem do Grzmiącej na zebranie. Była niedziela. Chłopi ustawili się w poprzek drogi z widłami. Stałem naprzeciw nich i myślałem: jeżeli zaczęć uciekać, rozjuszają się, rzucą na mnie i zabiją; jeżeli podejść do nich łagodnie i przemówię, to opuszczą widły i zaczną gadać. Tak zrobiłem. Właśnie na kursie pouczono mnie, jak w takich wypadkach działać.

Czym więcej angażowałem się w pracę zawodową i społeczną, tym bardziej odsuwała się ode mnie rodzina żony, a ona musiała znosić upokorzenia. Ja jej tłumaczyłem, że jest samodzielną i że wierność obowiązuje nie tylko wtedy, jak jest dobrze. Ale co tam żona, która mogła ulegać wpływom rodziców; do dziś słyszę krzyki mojej matki: — na bieda ty wpakowawszy się. Myślisz, że ja za tobą tęsknią? Taj ja ciebie nie znam. Nu, siadaj. Toj ty trocha i podobny do tego pohańca, co mnie okrał. Nu, wiadomo, nasienie. Może i charakter takiż samoj u ciebie, jak u tego proklatnego ojca. Ze też ta wojna przeżyw. Taj Bog toż niesprawiedliw. Ale skoro przyszedzys, to i sabaka na dwor nie wygonisz.

WODNIK

Sysunek Stanisława Kędziawskiego



kowal zawinił

W dyskusjach dotyczących odnowy naszego życia publicznego wiele miejsca poświęca się prawu i praworządności. Związki zawodowe, organizacje społeczne i komisje rządowe opracowują, bądź już opracowały, wiele propozycji zmian obowiązującego prawa, głównie karnego. Generalnie: we wszystkich dominują propozycje rozszerzenia zakresu spraw, które powinny być rozpoznawane przez sąd, bądź poddania jego kontroli innych organów orzekających w różnych dziedzinach prawa. Jako kilkuletni praktyk muszę stwierdzić, że te propozycje są w pełni uzasadnione. Mimo bowiem licznych niedomogów organów sądowych (ich źródłem — obciążenie pracą sędziów, braki w wyposażeniu technicznym itp.) jedynie one dają gwarancję prawidłowego wymiaru sprawiedliwości, i to zarówno w sprawach poważniejszych, jak i drobnych.

Jedną z propozycji zmian jest poddanie, na żądanie stron, kontroli sądowej orzecznictwa kolegiów ds. wykroczeń. Proponuje się np., by w przypadku niegodzenia się stron z orzeczeniem kolegium miały one prawo wyboru drogi odwoławczej, przy czym same decydowałyby o tym, gdzie mają składać odwołanie: do sądu czy do kolegium wyższej instancji.

Wieloletnia obserwacja działalności kolegiów ds. wykroczeń dowodzi, że naruszają one przepisy, błędnie interpretują prawo materialne, mylą się w orzekaniu o winie i karze. Dotychczasowy system odwoławczy również nie zdaje egzaminu. Dowodem tego może być taka oto sprawa, rozpoznawana przez wszystkie możliwe instancje kolegiów, z Komisją Orzecznictwa ds. Wykroczeń właściwie.

Na początku nie budziła ona żadnych wątpliwości: rolnik z gminy Kolno złożył wniosek o ukaranie swego sąsiada za wypas bydła na jego, zasianym żytem, polu. Świadczenie fakt potwierdzali, oszacowane zostały szkody w uprawach, wydawało się więc, że postępowanie zostanie szybko zakończone. Tymczasem — nie; trwało ono aż osiem miesięcy, bowiem kolejne składy orzekające przeoczyły jeden „drobny” szczegół. Ten mianowicie, że wniosek o ukaranie odnosi się nie do tej osoby, która faktycznie pasła krowy na cudzym polu. Już na pierwszej rozprawie świadkowie stwierdzili, że było wypasać nie obwiniony, a je-

go ojciec. Zresztą i sam sprawca wykroczenia, przesłuchany jako świadek, zeznania sąsiadów potwierdził. Kolegium jednak wcale się tym nie zainteresowało. Dla niego ważne było ukaranie, a nie ustalenie winnego.

Obwiniony niesłusznie rolnik, ufiny w kolegiatny wymiar sprawiedliwości, złożył w terminie odwołanie, w którym dowodził, że nie mógł w tym dniu bydła wypasać, bowiem nie było go w ogóle we wsi. Co zrobiło kolegium ds. wykroczeń przy wojewodzie łomżyńskim? Konsekwentnie podtrzymało winę odwołującego się; uchyliło jedynie orzeczenie co do tzw. nawiazki.

Pewnie byłoby już po sprawie, bowiem decyzją kolegium ds. wykroczeń przy wojewodzie nie podlegała zaskarżeniu, a obwiniony uiszczył zaskarżoną grzywnę, ale — na szczęście — ta jawna niesprawiedliwość go zdenerwowała, a szczególnie fakt nieprzyznania mu owej nawiazki, będącej odszkodowaniem za straty w kolejnych rozprawach. Złożył więc wniosek do Komisji Orzecznictwa ds. Wykroczeń w Łomży, a ta argumenty pokrzywdzonego uwzględniła, tyle że znów pominęła ten „drobiazg”, iż ukarany nie był sprawcą wykroczenia. Należało orzeczenie uchylić, a sprawę przekazać do kolegium I instancji, gdzie rolnik powinien zostać uniewinniony.

Postępowanie wartko toczyło się dalej: kolegium I instancji nadal karze niewinnego, ten pisze odwołanie (nie tylko nie wypasał bydła, ale nawet nie był jeszcze wówczas właścicielem gospodarstwa). I nagle stał się cud: kolegium II instancji uniewinniło go.

Swoistym curiosum tej całej kolumny jest jeszcze jedno zdarzenie: obwiniony, nie mogąc się stawić na pierwszą rozprawę (z powodu choroby), upoważnił pisemnie swoją córkę do występowania w jego imieniu. Kolegium przystało na tę „podmianę”, po czym — przesłuchało ją w charakterze obwinionej! Córka, rzecz jasna, do winy się nie przyznała, bo i do czego miała się przyznać?

Konsekwencją tego tragikomicznego widowiska, odbywającego się w majestacie prawa, jest zwątpienie obwinionego rolnika w kolegiatną sprawiedliwość i jego niezadowolone, bowiem poniósł on określoną stratę, a nie uzyskał za nią żadnego odszkodowania. Najbardziej zadowolony z takiego obrotu rzeczy jest prawdziwy sprawca wykroczenia, jako że wobec długotrwałości postępowania przeciwko niewinnemu — postępowania przeciwko niemu prowadzić nie można.

Opisany przypadek nie jest, niestety, odosobniony.

ZYGMUNT ZEMBRZYCKI

Ostatnimi czasy, w ramach odnowy, co śmielsi i zaprzysiężeni czynili mi wprost zarzuty, że się odnowiłem i przestałem wymiatać. Sporo w tym prawdy, więc czułem się ni-jako. Łagodność moich „wymiotów” nie jest jednak efektem tego, że i mnie ktoś w końcu przyłożył. Nie bardziej błędnego niż takie mniemanie. Po prostu nie leży w mojej naturze kopanie leżącego. Nie lubię też nikogo w tym wyręczać.

Za leżącego uważam zaś cały sport w naszym województwie. Pojedyncze sukcesy — jaskółki nie czynią wiosny.

Zaczął się nam przewracać na długo przed odnową. I chociaż trwa ona już ponad rok, jak twierdzą optymiści, nie się nam nie podnosi, a wręcz przeciwnie. Przyczyny upadku są oczywiste i wszystkim od dawna znane. Brakuje odpowiedniego napędu, a perpetum mobile przecież nie istnieje. Więc jak ma się kręcić? Czy najważniejszy jest brak motywacji i perspektyw?

Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie proponuję przycupnąć i czekać. Potrzebne szybkie decyzje, bo sypie się coraz bardziej. Wykruszają się szeregi tych, którzy odejść nie powinni. Przecież ani jutro, ani za rok nie będzie źle. Ciagle ktoś komuś podstawia nogę; takie małe świństwa, podchody, jakieś ambicjki. Na razie obejdźmy się bez przykładów, atmosfera jest wystarczająco zatruta.

Gorzkie to słowa, ale takie wnioski wypływają z moich obserwacji. Nie to jest jednak najgorsze. Smutniejsze, że niektóre instytucje sportowe traktowane są jak prywatne folwarki lub poletka doświadczalne. Mimo pozorów demokracji w dalszym ciągu daje się zauważyć nakazowy, sztabowy dryl. Niech sporadyczne sukcesy osiągnęte przez niektórych dzięki niebawale ekwilibryście i samozaparcu nie przesłaniają ciemnego obrazu. Czas, aby kaprale odeszli, a złośliwych generałów można po prostu zdegradować. Oddzielenie ziarna od plew okazać się może sztuką trudną i zabiegami bolesnym, ale niezbędnym. A przecież sport, jak zwykło się mówić, jest szkołą charakterów. Okażmy więc charakter.

— On jest element — krzyknę z oburzeniem wielu po przeczytaniu tych słów. Ale oburzać się jest rzeczą ludzką. Dobrze jednak się stanie jeśli potem przyjdzie czas na refleksję, taki mały rachunek sumienia. Prawdą jest, że działalność w sporcie jest rzeczą niewymierną i trudno kogoś konkretnie rozliczyć.

sport

remanent

W tym przypadku najlepszym kontrolerem jest własne nasze sumienie. Ale ludziom z „ambicjami” trudno przyznać się do błędów, tym bardziej publicznie. Odejdzie z honorem jest sztuką trudną, udowodniał to na naszych łamach Władysław Tocki w cyklu pt. „Kultura i kulisy — sztuka odchodzenia”

W tych trudnych czasach potrzebni są ludzie z charakterem. A okazać się takim, to zdecydować się na etykietkę „konfliktowy”. Do tego potrzebna odwaga, trudno bowiem iść pod prąd, nawet jeśli racja jest po stronie idącego. Znam kilka osób, które się na to zdecydowały. Życie mają trudne, ale mogą sobie pozwolić na luksus mówienia prawdy. Nikt nie może im nic zarzucić!

Niedawno nadszedł do redakcji list z Grajewa. Czytelnik prosi o opublikowanie go i zachowanie nazwiska do wiadomości redakcji. To się praktykuje. Drogi Czytelniku, list byłby opublikowany, ale sprawa się rypla. „Odnosne” władze tym razem zadziałały szybko i problem poruszony w „Serwie papierową pileczką” przestał istnieć. Nie zachodzi więc potrzeba publikacji. Jest tylko jedno ale. Zarzucał mi Pan, że nie wymieniałem z nazwiska osoby, którą należy z klubu „wyrzucić na zbity pysk”. Otóż muszę stwierdzić, że nie jestem do końca przekonany, czy ta osoba jest winna wszystkich nieszcześć, które spadły na „Warmię”, chociaż zgadzam się, że powinna odejść. Czy za złą działalność tylko ona ponosi odpowiedzialność? O tym, że w klubie działo się źle, dawno wiedziały „różne” władze. To było widać i z Grajewa i z Łomży. Nikt jednak nie kwapił się z podjęciem zdecydowanych działań. Pozwalano na popełnianie dalszych błędów, jakby czekając, że sprawa załatwi się samorządnie. A sami działacze to co? Przecież już wcześniej wiosną tego roku w „Gazecie Współczesnej” opublikowano alarmujący list z Grajewa dotyczący „Warmi”

Łatwo jednak skrzywdzić człowieka. Etykietki przyklejają się na całe życie. A nie zawsze ten co leży jest winien. Konkluzja inna niż w pierwszej części felietonu? Nic podobnego, chodzi o to samo!

WYMIATA CZ

skrzyżowania skrzyżowania

uroki jesieni

Ziemiaczane wykopki zbliżają się ku końcowi, buraczane idą pełną parą. Miasta starają się nie pozostawać w tyle w wykopkowej kampanii; także i w Łomży kopiących namnożyło się co niemiara. Oto ulica Sadowa już od paru miesięcy jest przykładem pokazowej wręcz sprawności prowadzenia robót ziemnych, a wykonawcy tak polubili to miejsce, że nie bacząc na upływanie terminu zakończenia „inwestycji” — dłużej dalej, choć nie wiadomo kiedy, bowiem nad wykopem rzadko w dzień pojawia się kilku robotników. Ulica Sikorskiego, mimo obchodów setnej rocznicy urodzin jej patrona, przedstawia widok wręcz opłakany, i trudno powiedzieć, czy ktoś coś czyni, by ów stan rzeczy zmienić na następną o-

krągłą rocznicę. Na Szosie Zambrowskiej, po krótkiej przerwie, kolejna ekipa ponownie rozwala jezdnię, na dodatek — bez zezwolenia kompetentnych władz. Skrzyżowanie ulic Świerczewskiego i Armii Czerwonej także przeżywało zrywanie nawierzchni. I tak dalej. Znamienny jest fakt, iż wykonawcy robót drogowych, przynajmniej tych najpilniejszych dla nas (choćby na skrzyżowaniu świetlnym), nie wpadli dotąd na — stary skądinąd — pomysł prowadzenia prac przez ca-

łą dobę. Podobnie ma się sprawa z malowaniem przejść dla pieszych (notabene: już niewidocznych), które z reguły odbywa się w czasie trwania największego natężenia ruchu, choć w innych województwach prace takie wykonywane są nocą.

Wreszcie słów parę o znacznie mniej przyjemnej stronie jesieni: o niebezpieczeństwach, jakie niesie ta pora roku. Ot, choćby wspaniałe, szeleszczące, listne dywany, okrywające chodniki czy jezdnie, okazują się zdradliwą pułapką: kierowcy

wpadają na nich w poślizg, a i pleśń są narażeni na upadki i potłuczenia. Albo pozornie nieszkodliwa warstwa błota, zalegającego drogi szczególnie w pobliżu punktów skupu płodów rolnych lub wyjazdów z pól: potrafi ona tak skutecznie zmniejszyć przyczepność kół pojazdu do podłoża, że dorównuje w tym względzie gołoledzi. Błotko — takie zwykle dostrzegamy zza kierownicy w ostatniej chwili; szczęściarzem jest wówczas ten, dla kogo cała przygoda skończy się efektywnym piruetem samochodu. Nie można też zapominać o furmankach, rowerach i ciągnikach-widmach, sunących cicho o zmierzchu lub we mgle. Efekt nagłego ich napotkania bywa zwykle halaśliwy i bolesny. Mimo że jesienią mgła czy deszcz nie są czymś zaskakującym, powożący furmankami nie używają nawet zwykłych laterek do oświetlenia wozów. Jeśli nie troszczą się zbyt o życie i zdrowie innych, to przynajmniej mogliby pomyśleć o życiu własnym i swoich koni.

Niedawno byłem świadkiem najeżdżania ciężarówki na pojazd zaprzęgowy, oczywiście — nie oświetlony. Oba konie, silnie potłuczone, wymagały niezwłocznej pomocy pogotowia weterynaryjnego. Przypuszczam, że gdyby potrafiły mówić, zafundowałyby furmanowi nielichą wiązanek, a gdyby umiały płacić pięknym za nadobne, napędziłyby mu rozumu kopytami.

DYŻURNY DROGOWSKAZ
Fot. GABOR LÖRINCZY



PROGRAM I

PROGRAM II

PIĄTEK 23 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM - I

PROGRAM II

SOBOTA 24 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

PROGRAM II

NIEDZIELA 25 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

WYSTAWY

MUZEA

PROGRAM II

PONIEDZIAŁEK

26 PAZDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

PROGRAM II

PROGRAM I

PROGRAM II

ŚRODA 28 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

PROGRAM II

W razie potrzeby

sztandar za spokoj

mendantowi KMG MO w Kolnie — kpt. Czesławowi Kulasowi. To już trzeci raz w województwie — po Łomży i Grajewie — społeczeństwo uhonorowało wysiłek ludzi, stojących na straży jego bezpieczeństwa. Potem wystąpił zespół „Desant”. Pikiety, ale nie głuche.

Fot. Wiesław Chromiński

K 3703-1

k 3600-1

Ogłoszenia drobne

pg 1196-0

p 1231-0

Z POWODU wyjazdu sprzedam gospodarstwo 10 ha. Renata Bacewicz, KARWIK k/Pisza nad Śniardwami, autobus podmiejski, poczta 12-203 Szczeciny Wielkie.

Redaktor naczelny: Stefan Henczelowa - zastępca: Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Alicja Zagorska, Fotoreporter: Gabo Lorynczy, Redaktor graniczny: Adam Jerzy Socha, Juliusz Swiradow, Redaktor techniczny: Zbigniew Henczel, Kłeks, Elżbieta Słupska, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartos, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Henryk Gata, Jacek Grün, Wiesław Jaślicki, Andrzej Kozłarski, Klemens Krzyżogórski, Piotr Kunczewicz, Marek Kusuba, Włodzimierz Pawluczuk, Franciszek Piątkowski, Andrzej Podulika, Teresa Polcecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpalinski, Andrzej Tchenczowski, Wojciech Woźniak, Koncepcja Graficzna: Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, tel. 34-95, 40-22, telex 853248 WYDAWCA: RSW "Prasa Książka-Ruch", Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku, Druk Białostockie Zakłady Graficzne, Zam. 1549/81, Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. typu Wydawnictwa, 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95, 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW "Prasa Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

SEKS I MEDYCyna

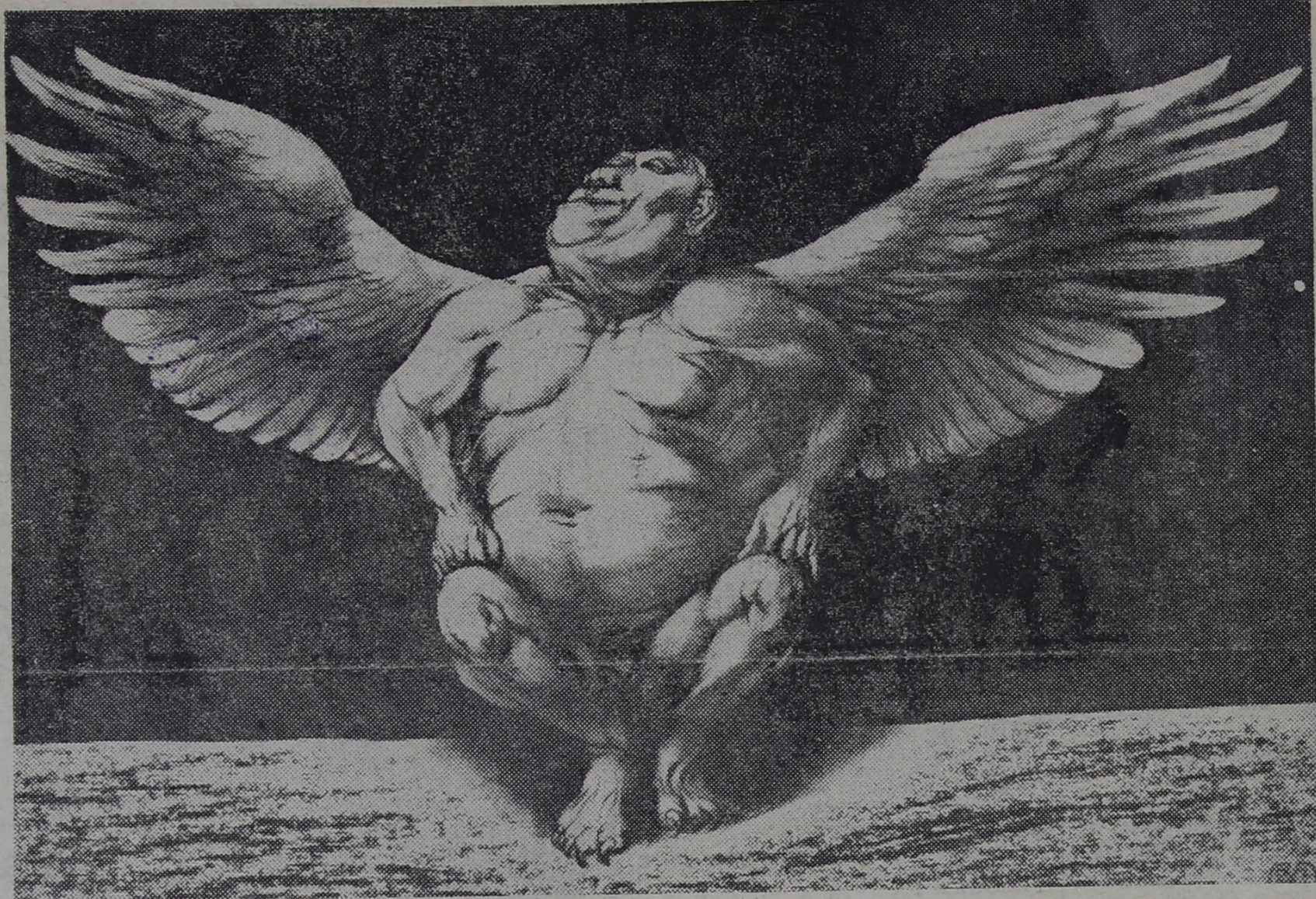
Thomas Szasz twierdzi, że ludzie medycyny lękają władzy i pieniędzy, jedno i drugie osiąga, nazywając pewne problemy chorobami, dodając przy tym, że tylko oni potrafią to leczyć. Najnowszy atak na medycynę, czyli książka Szasza, nosi tytuł „Seks, fakty, oszustwa i szaleństwa”. Autor przytacza przykłady – w XIX w. onanizm uważano za ciężką chorobę, próbowano leczyć z niego operacyjnie, podczas gdy dziś masturbację zaleca się jako formę autoterapii. Inny fakt: jeśli lekarz „przepisze” pacjentowi usługi prostytutki jako środek łagodzący napięcia seksualne, to pacjent może sobie ten wydatek potrącić z podatku, przedstawiając w urzędzie receptę.

Szasz polemizuje z metodami leczenia nerwic seksualnych, jakie stosują Masters i Johnson – najbardziej wzięci terapeuci amerykańscy – nazywa ich parą świętoszkowatych tumanów, usiłujących sprowadzić leczenie osób niezadowolonych na płaszczyznę medycyny.

Szasz nie wierzy w modnych terapeutów, pisze, że „dzisiejsza promasturbacyjna literatura medyczna stanowi odzwierciedlenie przesłanki, że kobiece narządy płciowe to coś w rodzaju domowego urządzenia mechanicznego, z którego właścicielka nie umie korzystać, gdyż nie rozumie instrukcji obsługi”. Szasz uważa, że pocieszeniem niewydarżonych powinni raczej zajmować się pracownicy opieki społecznej, a nie lekarze – skutek byłby taki sam, a znacznie taniej.

Szasz jest przeciw rządowemu programowi upowszechniania terapii seksualnej, bo każdemu przysługuje wolność wyboru stopnia oświecenia. Z drugiej jednak strony Szasz skarży się, że nie kontrolowani terapeuci wykorzystują naturalny pęd do nauki i, jak to wynika z amerykańskich ankiet, co dwudziesty psycholog kliniczny miał stosunek z pacjentką, więc jeśli rząd w to nie wkroczy, to wyrugowanie nadużyć będzie niemożliwe. W ogóle Szasz nie daje zbyt wielu konstruktywnych rozwiązań problemu, a nawet daje ich tak mało, że część recenzentów uważa jego „Seks: fakty, oszustwa i szaleństwa” za książkę bardziej satyryczną niż medyczną.

Oprac. A. Kozłara



Rysunek Adama Hoffmana. Reprodukował Włodzimierz Ciesłowski.

DONOS NR 22

Przycupnąłem na międzyzakładowej kępie i typię ślepiem na świat. Koryto prawie wyschło, w dodatku paskudnie zamulone i z myciem pyska lepiej nie ryzykować, więc robię tylko gimnastykę poranną.

Ostatnio jednak przy piątym przysiadzie coś mnie złapało. Ischias, tak sobie pomyślałem, a rwie – skubany – jak nie przywierając lew gazelę. Zawezwałem cyrulika, a ten z miejsca ręce załamuje, że to niby kryzys i konieczna jest reforma. W ramach rekompensaty dostałem skierowanie do kowala.

Prostował mnie okrągłą dołą tak skutecznie, że mi się nadzwyczaj uszytywnił kręgosłup moralny, a prosty teraz jest, że ho, ho!

Nawet sporo ofert dostałem z tej okazji. Chcieli, bym został przekąnikiem, ale mam własną linię i ka-

blem nie będę, a tym bardziej jakimś masztem, na który wciąga się coś od święta.

Piekło centralne głęboko wzruszyło się moją odmową i zaapelowało, żebym nie był taki prosty, skoro sytuacja jest nadzwyczaj pokręcona, a jeśli się nie dam nagiąć do propozycji, to będę przygięty do ziemi (w ramach zmagania ekologicznych).

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Ostatnio doszło do poważnej kolizji nad ulicami mego grodu. W gęstej mgłę zderzyły się pospieszny odkurzacz i ekspres trójmiotłowy. Komisja, która już czekała na miejscu wypadku (wypożyczona w autentycznych ekspertów), stwierdziła brak światła mijania u trójmiotłowca. Nie wiadomo tylko, czy owe światła były przed wypadkiem. W przyszłości zaleca się stosować

więcej światła i kwita. Najlepiej, jeżeli będzie ciągle czerwone. Wytworzone korki przydadzą się w każdej kuchni.

Piekło centralne zarzuciło system przekupstwa i przechodzi obecnie na handel wolnorynkowy, tzn. rynek jest wolny od towarów, a handel zamknięty dla wąskiego kręgu. Całość łączą szybkie kolejki. W ogólnym ścisku usłyszeć można jedynie utyskiwania na żyłaki (elementy, które żyłują klienta).

WYTYCZNE

Podciągnąć lot do wyższych not.

WSKAZÓWKI

Trzymać się steru, a nie – orędu.

TWÓRCZOŚĆ

Nie w głowie temu kołacz, kto o pracę kołacz.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

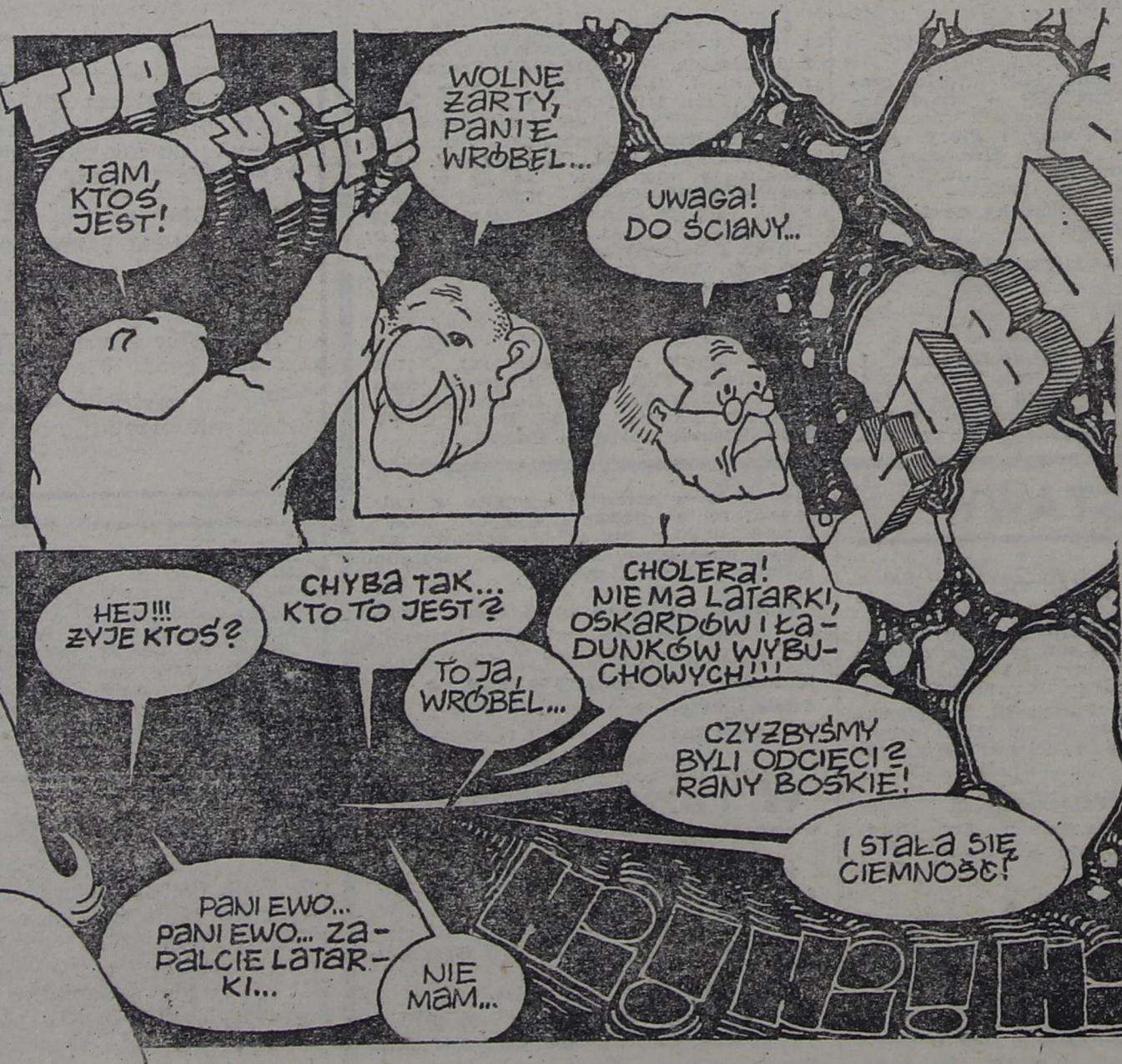
2. STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ

POMYSŁ:
MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.:
JÓZEF BURNIEWICZ

EKSPEDYCJA PENETRACYJNA KOPALNIE, DOTARŁA DO POZIOMU 476. TU W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH KOŃCZYŁY SIĘ POPRZEDNIE WYPRAWY. ŚWIADEK DAWNYCH DRAMATÓW BYŁO SKAŁNE RUMOWISKO ZAMYKAJĄCE DROGĘ DO NIŻSZYCH POZIOMÓW. CZŁONKOWIE EKSPEDYCJI USUNĘLI JE I OPUŚCILI SIĘ W CIEMNĄ CZELUŚĆ PODZIEMIA.



TU SĄ JAKIEŚ ŚLADY... JAKBY KOPYTKA...



TAM, KTOŚ JEST!

WOLNE ZARTY, PANIE WRÓBEL...

UWAGA! DO ŚCIANY...

HEJ!!! ŻYJE KTOŚ?

CHYBA TAK... KTO TO JEST?

To JA, WRÓBEL...

CHOLERA! NIEMA ŁATARKI, OSKARDÓW I KADUNKÓW WYBUCHOWYCH!!!

CZYŻBYŚMY BYLI ODCIECI? RANY BOSKIE!

I STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ!

PANI EWO... PANI EWO... ZAPALCIE ŁATARKI...

NIE MAM...